NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKOW, UL. ZIELONA 7.
Nr. TELEFONU 479.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 1 kwietnia 1905 r. Nr. 14.

Zamach dynamitowy na Woli pod Warszawą.

(Do artykułu na str. 2).



Numer ten zawiera 24 stronic druku!



Hrabina Montignoso na wygnaniu: Hotel „Aurore“ we Fiesole, gdzie mieszka obecnie hrabina Montignoso.

Od Administracyi.

Z niniejszym numerem rozpoczynamy drugi kwartał wydawnictwa „Nowości Illustrowanych“. Celem uregulowania kosztownego nakładu i wysyłki pisma naszego, upraszamy P. T. Abonentów o jak najrychlejsze odnowienie prenumeraty, która wynosi:

na bieżący kwartał . . kor. 4.
do końca b. roku . . . kor. 12.

Za każdorazową zmianę adresu dopłacić należy 40 hal.

Nowo przystępujący Abonenci otrzymają bezpłatnie w arkuszowych odbiciach początki dwóch senzacyjnych, obecnie w „Nowościach Illustrowanych“ drukujących się powieści p. t.:

„KWIAT NĘDZY“ i
„ŚLADAMI ZBRODNI“

tylko za zwrotem kosztu przesyłki.

Zarazem pospieszamy podzielić się z naszymi Czytelnikami miłą wiadomością, że udało nam się od jednego z najwybitniejszych powieściopisarzy polskich, pozyskać specyalnie dla „Nowości Illustrowanych“ napisaną – wspaniałą pełną przejmującej grozy i senzacyi **powieść na tle obecnej rewolucyi w Warszawie**, której z illustrowanie powierzyliśmy młodemu, wysoce uzdolnionemu, a znanemu już naszym Czytelnikom artyście-malarzowi p. A. Setkowiczowi.

Druk nowej powieści rozpoczniemy natychmiast po ukończeniu obecnie drukującej się, p. t. „Śladami zbrodni“ t. zn. w pierwszych dniach Maja b. r.

Wydawnictwo „Now. Illustr.“

Zamach dynamitowy na Woli pod Warszawą.

(Do illustracyi tytułowej).

W chwili, gdy jak zdawałoby się zarzewie rewolucyi w Królestwie Polskiem dogasa — pojawiają się w dawnej stolicy Polski coraz nowe krwawe niespodzianki, świadczące z jednej strony o niespożytej sile ekspenzywnej rewolucyonistów, a z drugiej strony o zaślepieniu i złej woli odnośnych władz — nie mogących zdecydować się na jedyny radykalny środek, celem stłumienia rozruchów: nadania ludowi swobód konstytucyjnych. Krwawy taki epizod, jako dalsze ogniwo z całego niezamkniętego jeszcze łańcucha zamachów — rozegrał się przy rogatkach wolskich w Warszawie. Chociaż miasto jest de facto już spokojne i życie społeczne wróciło do dawnych trybów — pomimo tego jednak krążą dniem i nocą silne patrole po ulicach, drażniące i prowokujące spokojną ludność robotniczą.

Około godziny 10 wieczorem przejeżdżała patrol w kierunku rogatek wolskich. „Wzmocniona patrol składała się z 3 konnych żandarmów — za nimi zaś szło 2 policyantów i 4 szeregowców 61 pułku włodzimierskiego. Gdy przy rogatce zrównali się żołnierze – rozległ się nagle przerażający huk. Gęsty obłok dymu i kurzu ulicznego przysłonił na chwilę miejsce katastrofy, tylko jęk konających i ciężko rannych świadczył, że bomba rzucona — sprawiła swój skutek. Wybuch był tak silny, że we wszystkich domach, po obu bokach ulicy — powylatywały szyby z okien, a bruk na betonie zupełnie został zniszczony tak, że na miejscu katastrofy asfalt zupełnie został sproszkowany, a przerażający huk słyszany był w całej Warszawie.

Gdy tumany dymu i kurzu opadły — zgrozą przejmujący widok przedstawił się oczom przechodniów. Wszyscy szeregowcy z patrolu strasznie pokaleczeni, leżeli we własnej krwi na ziemi. Z potrzaskanemi rękami i nogami, z zmasakrowanemi twarzami wili się w bólu, żerząc w ostatniem konaniu. Żandarmi, ktorzy mniej ucierpieli w zamachu — puścili się pędem do cyrkułu. Niebawem jednak zmuszeni byli zwolnić koniom biegu — i zwierzęta bowiem i jeźdźcy byli poranieni odłamkami bomby. Wkrótce przybył na miejsce wypadku oberpolicmajster bar. Nolken ze swym pomocnikiem Zejfertem, a równocześnie zarekwirowano tabor towarzystwa ratunkowego. Rannych z których najwięcej ucierpiał policyant Jakowlew i dwaj szeregowcy pułku włodzimierskiego — przewieziono do szpitala. Lżej rannych żandarmów opatrzono na miejscu i odesłano do domów.



Hrabina Montignoso na wygnaniu: Córka hrabiny Montignoso, księżniczka Anna Monika.

Zamach ten wywołał w Warszawie niebywałą panikę i na nowo przejął strachem publiczność i potroił czujność władz, skierowaną przeciw ludności polskiej. Wykonawców zamachu nie ujęto dotychczas, a prawdopodobnie i śledztwo nie wyjaśni bezpośrednich przyczyn i aktorów dramatu wolskiego.



Hrabina Montignoso na wygnaniu: Hrabina wraz z córeczką Anną Moniką na spacerze.

Hrabina Montignoso na wygnaniu.

Przeciągła historya księżnej Luizy Saskiej, jeszcze do dzisiaj pokutuje na szpaltach różnych dzienników, a staje się obecnie tem bardziej interesującą, że okazała się krzywda jej wyrządzona przez dwór saski w całej pełni. Ścigana przez ajentów dworu saskiego — schroniła się do Włoch, sądząc, że znajdzie tu upragniony spokój i swój kąt, do którego nie wedrze się mściwa intryga dworu saskiego. By odebrać księżnej wszelką pociechę

w życiu, chciał dwór saski zabrać jej córeczkę Annę Monikę — ale dzięki interwencyi opinii publicznej, dziecko to pozostało przy matce i nadal.

Księżna Luiza dziwnie zmieniła się po tych wszystkich przejściach, które ją spotkały. Pod przybranem nazwiskiem hrabiny Montignoso, zdala od ludzi, żyła w swej Villi Pappiano — ale obecnie, by niepotrzebnie nie wydawać pieniędzy na utrzymywanie tak wielkiego domu, przeniosła się do Fiesole, niedaleko od Florencyi i tam zamieszkała w hotelu „Aurore“. Życie swe — zdaje się — poświęciła wychowaniu małej córeczki Anny-Moniki. Tam, zdala od nienawistnego dla niej świata, prowadzi proste i skromne życie, które jednak jest dla niej teraz po wszystkich przejściach prawdziwym odpoczynkiem. Mimo, że dwór saski odmówił jej wypłacania apanaży, Saksończycy zbierają składki na nią, a w jednym dniu, jakby dla zademonstrowania swej sympatyi dla księżnej, zebrano w Dreźnie 41 tysięcy marek.

Zamach samobójczy kobiety w przystępie szału.

Umysł ludzki, to maszyna niezmiernie subtelna i skomplikowana, której istoty nie udało się właściwie żadnemu jeszcze lekarzowi ani psychologowi należycie zbadać. Czasem człowiek pozornie najzdrowszy, nie zdradzający swem postępowaniem nic anormalnego, nosi przecież w mózgu swoim zarodki umysłowej choroby, która za ladajaką zewnętrzną podnietą lub silniejszem podrażnieniem nerwów wybucha.

Smutny wypadek takiego strasznego a niespodziewanego wybuchu szału — zdarzył się niedawno w miasteczku Delatynie we wschodniej Galicyi. Pani Teodozya Wiernicka, żona tamtejszego burmistrza, była znaną w szerokich kołach towarzyskich, jako kobieta wyjątkowych zalet serca i umysłu, trzeźwo i zdrowo na życie się zapatrująca, wzorowa żona i matka kilkorga dziatek. Można więc sobie wyobrazić, jakie wrażenie na mieszkańcach miasteczka wywarła pewnego dnia wieść, że p. Wiernicka odebrała sobie w przystępie ostrego szału życie. Istotnie! żona burmistrza rzuciła się — w zamiarze samobójczym w głęboką studnię i — jak fama miejscowa głosiła — znalazła śmierć



Zamach samobójczy kobiety w przystępie szału: Ocalona od śmierci Teodozya Wiernicka, żona burmistrza w Delatynie.

na jej dnie. Fakt, chociaż sam w sobie straszny i grozą przejmujący, nie miał jednak tak tragicznego rozwiązania. Krzykiem obłąkanej, pasującej się ze śmiercią na dnie studni kobiety, zaalarmowani zostali domownicy i na czas jeszcze uratowali jej życie. Nieszczęśliwa chora, której podobiznę załączamy, przewieziona została na kuracyę do jednego z domów zdrowia.

Krwawy dzień chłopski w Kutnie.

We wsi Łanięta, koło Ostrowa, dzierżawcy majątku p. Wyganowskiemu oświadczyli chłopi solidarnie, że za dotychczasową płacę robót polnych i dworskich dostarczać nie mogą. Niezadowolenie i ferment powiększali ziemscy strażnicy, którzy w cywilnem przebraniu krążyli po wsiach, rozsiewając kłamliwe alarmujące wieści, jakoby panowie chcieli napowrót lud ujarzmić i zaprowadzić pańszczyznę. W podłej szatańskiej tej robocie odznaczył się zwłaszcza naczelnik straży ziemskiej, niejaki Grieb. Ruch więc opozycyjny chłopski był inspirowany i przeprowadzony przez „władze publicznego bezpieczeństwa“. W dniu krwawego zajścia wpłynęło na ręce Grieba doniesienie, że drogą od miasteczka ciągną tłumy zbuntowanego chłopstwa do wsi Łanięta. Chłopi istotnie zebrali się we wsi w liczbie 150 ludzi i w spokojnej formie przedstawili dzierżawcy swoje żądania. P. Wyganowski zgodził się na nie i obdarowawszy chłopów sutym napiwkiem, wyprawił ich do domu. Gdy kalwakata wyruszyła w drogę — zastąpiła jej drogę rota wawerskiego pułku z oficerem i owym Griebem, naczelnikiem ziemskim na czele. Po niewyraźnym mruknięciu oficera z rozkazem rozejścia się, wydanym po rosyjsku, którego nawet polscy chłopi zrozumieć nie mogli — rozległa się nagle salwa karabinowa. Powstała w bezbronnym, zbitym tłumie ludzi przerażająca panika, jęki konających i krzyk uciekających zmieszały się w straszny piekielny chaos. Nie dosyć jednak było na tem uzbrojonym oprawcom. Na komendę Grieba nastąpiły kolejno dwie salwy jeszcze. I nowy pokos rannych i trupów zasłał ziemię. A zaiste! strasznem było to żniwo śmierci! Obok mężczyzn padły kobiety i dzieci — a ogólna liczba ofiar wynosiła 58 osób!! Po dokonaniu „bohaterskiego“ czynu, zarekwirował Grieb 6 wozów z wsi okolicznych i na nich poukładać kazał tak rannych jak zabitych i przewieźć do szpitala w Kutnie. Całą drogę znaczyła śladami krew, ociekająca z rannych i zabitych. Wielu z nich skonało w drodze, więcej jeszcze tego samego dnia w szpitalu — pozostała zaś mała część leczy się z ciężkich ran i obrażeń, zadanych kulami moskiewskiemi. Rycina nasza przedstawia chwilę, gdy do szpitala dostawiają wozy, napełnione żywem i poszarpanem ludzkiem mięsem. W drzwiach przyjmuje transport zacny i ofiarny kierownik szpitala Dr. Froczewski, a na twarzy jego maluje się groza i przerażenie, podczas, gdy służbowy oficer zdaje mu *„po prykazie“* raport.



Krwawy dzień chłopski w Kutnie: Dostawianie podwodami rannych i pomordowanych przez żołdaków do szpitala w Kutnie.



Kwiat Nędzy

POWIEŚĆ

TOM II.

26 (Ciąg dalszy)

— Słyszę i cieszę się niewymownie – mówił Janek uszczęśliwiony. Jak to dobrze! jak to dobrze! jesteś malarzem, więc staniesz się sławnym i bogatym...

— Tak, jestem malarzem, lecz dotąd bardzo często umieram z głodu. Spojrzyjcie na moją odzież! Mam wprawdzie drugie, niby lepsze ubranie, lecz niemal do szczętu na łokciach wytarte. Gdym wyruszył z budy nie było pracy, którejbym się nie chwycił. Czas jakiś zbierałem z gościńców nawóz koński, podawałem cegły przy budowie domów, nosiłem piasek z Wisły... Sypiałem w zimie w ohydnych podmiejskich norach, w cegielniach i piecach wapiennych, niekiedy w mieście pod schodami... w lecie zaś w ogrodach i na wirydarzach... zawsze sam, otoczony obojętnymi lub złośliwymi ludźmi. Jedni litowali się nademną, lecz pomocy udzielić nie chcieli, inni szydzili i poniewierali. I pomyśleć sobie, że gdyby rodzice kazali nas uczyć jakiegokolwiek rzemiosła, moglibyśmy we troje wieść życie pracowite, spokojne, uczciwe... bliscy siebie, wspierający się wzajemnie. A teraz co? Ja dobijam się wprawdzie zaszczytniejszego stanowiska, lecz czy się dobiję... nie wiem jeszcze. Sztuka ma także swój proletaryat, z którego wydostać się niezmiernie trudno; zwłaszcza, że w walce o kawałek chleba, traci się wiarę w własny talent i w cel wzniosły, do którego człowiek dąży. A wy... czy nie jesteście jeszcze nieszczęśliwszymi odemnie! Kwiat-Nędzy handluje figurkami gipsowemi, włócząc się zmęczony z kąta w kąt, z zaułka do zaułka, z ulicy na ulicę... upokarzany, lekceważony, pogardzany. Graziella sprzedaje kwiaty przed cukierniami i restauracyami, wciąż narażona na niegodziwe spojrzenia i rozpustne żarty nicponiów, próżniaków i furfantów!

Rumieniec oblał bladą twarz Janka.

— O, tak! tak!... Całą duszą pragnąłem, żeby Rózia została robotnicą, żeby dzień cały spędzała w porządnym zakładzie, w którym młode dziewczęta szyją bieliznę... albo w fabryce kwiatów... albo przy innej lżejszej pracy. Lecz oni nie chcieli... oni nie pozwalali!... A takbym się cieszył, gdybym wiedział, że jada codziennie zdrową strawę, że nie znosi chłodu w zimie, że nikt nie śmie jej urągać... że nikt na nią nie spogląda pożądliwem okiem...

Mówił gorąco, z uniesieniem i z zapałem. Piotruś przyglądał mu się, uśmiechał i szeptał:

— Jak ty ją kochasz!... jak ty ją kochasz!

— O, tak... Graziella jest dla mnie wszystkiem na ziemi. Dla niej tylko żyję!... Tych, których niegdyś kochałem, postradałem oddawna. Nie wiem, co się dzieje z dwoma dziewczynkami, z któremi się wychowywałem. Ojciec mój przybrany zmarł pewno w odległej krainie... stąd bardzo daleko... Matki zaś nigdy nie znałem... Graziella zastąpiła mi wszystkich moich. Jej zawdzięczam moje istnienie. Ona jedna pocieszała w ciągłych strapieniach... ona, dziś jeszcze, gdy mnie okropny smutek ogarnia, budzi w sercu męstwo i otuchę.

— Jak ty ją kochasz!... jak ty ją kochasz! – powtarzał Piotr nieustannie.

Patrzył na oboje wzrokiem artysty. Podziwiał niezwykłą piękność siostry i interesującą brzydotę Janka, który pomimo niekształtnej budowy ciała, ogromnej głowy i cienkiej, długiej szyi, posiadał śliczne oczy, pełne inteligentnego i uduchowionego wyrazu. Od chwili, w której zaczął malować, nie spotkał jeszcze dwóch tak odmiennych, a zarazem tak ciekawych i niepospolitych modeli.

— Słuchaj siostrzyczko – rzekł po niejakimś czasie – czy nie chciałabyś mi pozować do obrazu? Jeśli się zgodzisz, wdzięczny ci będę całem sercem. Postaram się uchwycić podobieństwo i odtworzyć wdzięk, jakim czarujesz...

Rózia roześmiała się głośno, niemal dziecięcym śmiechem.

— Ma się rozumieć, pozować ci będę kiedy zechcesz. Odmówiłam już kilku innym artystom, którzy mnie o to prosili, lecz tobie przecież odmówić nie mogę.

— Zatem rzecz postanowiona... wymaluję twój portret! Kto wie?... może go przyjmą na wystawę, może dzienniki o nim napiszą... może dostanę stypendyum i pojadę zagranicę... zwiedzę Rzym, Paryż, Londyn... O, wierzę w dobrą moją gwiazdę i wciąż żyję nadzieją!

Na oddalonym jakimś zegarze miejskim wybiła godzina pierwsza.

— Czas was opuścić, bo oczy już się wam kleją – rzekł Piotr, powstając z krzesła – a jednak, nie mogę was opuścić dopóki nie opowiem, jakim sposobem zostałem malarzem.

— Słuchamy cię, słuchamy! – zawołali razem Graziella i Kwiat-Nędzy.

Piotr usiadł.

— Mówiłem już, że wymknąwszy się z budy, próbowałem wszelkich sposobów zarobkowania, byle tylko nie zdechnąć z głodu. Między innymi, podejmowałem się nieraz sprzedaży dzienników... Pewnego wieczora, było to... jak dobrze pamiętam... w wigilię Bożego-Narodzenia, wziąłem z redakcyi „Wieku“ sporą paczkę egzemplarzy, a nie sprzedałem ani jednego... Wściekłe zimno panowało wówczas. Cały ranek śnieg padał, o zmroku zaś mróz dochodził chyba do jakich dwudziestu stopni. Schroniłem się do przedsionka katedralnego kościoła św. Jana, przepełnionego tłumem nędzarzy. Siadłem skulony w kąciku, żeby się nieco rozgrzać i odpocząć, ale żebracy i żebraczki zaczęli się oburzać, że wcisnąłem się między nich, nie mając do tego prawa. Powstałem więc i wszedłem do rzęsiście oświetlonej świątyni, w której odprawiała się Msza Święta, „pasterską“ zwana... Ukląkłem z boku, przy jednym z konfesyonałów i modliłem się gorąco... goręcej może od wszystkich tam zgromadzonych pobożnych. Wtem zabrzmiała „kolenda“, setnymi głosami śpiewana. Nuta jej słodka, pełna ludowej prostoty, wzruszyła mnie do głębi, uczułem jakiś błogi spokój, spływający w moją znękaną duszę. Przeżyłem wtedy pamiętną mi dotąd chwilę duchowego upojenia... Tymczasem ludzie poczęli powoli opuszczać katedrę. Czekała na nich w kółkach rodzinnych wigilijna wieczerza, drzewko jaśniejące świeczkami i „gwiazdka“. Moją gwiazdką był głód, który strasznie mi dokuczał... Nie chciałem wyjść z kościoła... i w miarę, jak światła gasły, kryłem się w cieniach, rzucanych przez wyniosłe filary, pragnąłem bowiem przepędzić noc w katedrze, żeby nie wałęsać się po pustych ulicach, na których wiatr północny wył przeraźliwie i srożyła się zamieć śnieżna... Niespodzianie jakiś człowiek, który przyglądał mi się od pewnego czasu i szedł krok w krok za mną, stanął tuż obok, położył rękę na mojem ramieniu i rzekł głosem, tętniącym dobrocią: „Blady jesteś... prawdopodobnie głodny i bezdomny. Chodź ze mną“.

— I cóż?... i cóż? – pytała Graziella przejęta ciekawością.

— Wziął mnie za rękę i wyprowadził z kościoła, przed którym stała pańska karetka, zaprzężona w pysznego, siwojabłkowatego, rasowego konia. Nie namyślając się wcale... a mogłem przecie być nożownikiem lub rzezimieszkiem... otworzył drzwiczki od karetki i kazał usiąść przy sobie. Pojmujesz Róziu, jaki to być musiał dobry człowiek! Nie pogardził nędzarzem, chociaż mnie nie znał, chociaż nie wiedział, czy jestem godzien jego litości. Inny, wskazałby mi miejsce na koźle... on, przy sobie posadził!... O, jakże uczułem się skruszony, przypomniawszy sobie, że nieraz rzucałem przekleństwa na bogaczy! Zrozumiałem wówczas, że dobrzy, szlachetnymi czynami okupują niegodziwości złych; że nigdy nie należy uogólniać potępienia, bo w pośród wszystkich klas społecznych, przy nikczemnikach, znajdują się także zacni ludzie!... Gdy przybyliśmy nareszcie do jego domu i mieszkania, przedewszystkiem mnie nakarmił, potem... po kolacyi, którą jadł razem ze mną, zaczął bardzo delikatnie wypytywać: czem chciałbym się zająć, co robić?... a ja, nie zdając sobie sprawy ze znaczenia i doniosłości słów moich, zwłaszcza, że czułem się nieco rozmarzony winem, które podawano przy wieczerzy, zacząłem opowiadać: że przypadkiem, dzięki protekcyi woźnego z Towarzystwa zachęty sztuk pięknych, zwiedziłem kilkakrotnie nieustającą wystawę obrazów, że zachwycony ich pięknością, pragnąłem uczyć się malarstwa. On zaś słuchał mnie z wielką uwagą, patrząc mi w oczy, sądząc... zda się... duszę moją do głębi. Uśmiechał się niekiedy, a twarz jego jaśniała tak dziwnie łagodnym wyrazem, że o mało nie padłem mu do nóg, ujęty jego dobrodusznym uśmiechem. Nareszcie, rzekł tonem, którego nie zapomnę nigdy: „No, no... zostaniesz malarzem, moje dziecko“.

— Ach, jak ja go kocham... tego człowieka! — zawołała Graziella, składając drżące od wzruszenia ręce, jakby do modlitwy — jakże ja go kocham!

— Kochać go należy siostrzyczko, bo on mnie ocalił od zguby... od upadku ducha... może od zniknięcia!... Zaraz nazajutrz oddał mnie do szkoły rysunkowej na naukę... swoim kosztem, ma się rozumieć... a oprócz tego wyznaczył mi małą pensyjkę na życie i mieszkanie...

— Czy ci ją wypłaca jeszcze?

— Nie — odparł Piotr poważnym tonem. Od pewnego czasu tem, co zarabiam, opędzam moje codzienne potrzeby. Maluję „kicze“, które chętnie znajdują nabywców. Co prawda sprzedaję je za bezcen, lecz bądź co bądź sprzedaję... a wierzaj mi, nie wszyscy moi towarzysze tem się poszczycić mogą. Gdy pierwsze moje płótno kupił handlarz starożytności, znający się na rzeczy, tegoż samego dnia pobiegłem do mego dobrodzieja i powiedziałem mu, że pensyi więcej pobierać nie będę. Prosiłem go, by ją przeznaczył dla kogoś bardziej odemnie potrzebującego. Nie myśl, że żyję w dostatku i wygodach... o nie! Dotąd jestem tylko robotnikiem, pracującym od rana do wieczora, albo uganiającym się po różnych składach papieru, obrazów, galanteryi i tym podobnych, żeby spieniężyć moje obrazki. Bywają dnie, że nie mam grosza przy duszy, że nie jem objadu, że nawet

chleba kupić sobie nie mogę... bo u nas w Polsce, moja droga, łatwiej obraz namalować, niż go sprzedać. Lecz nie martwię się tem wcale! Młody jestem, pełen zapału... i nigdy nie tracę nadziei!

— Dzielnie! dzielnie, mój Piotrusiu! Piękny byłeś zawsze, teraz jednak stokroć piękniejszym mi się wydajesz, wyrazem męskości i odwagi, promieniejącym w twoich źrenicach! – mówiła Rózia, obejmując szyję brata ramieniem. – Lecz nie powiedziałeś nam dotąd, jak się twój dobroczyńca nazywa.

— A na co?

— Pytasz na co? Ze zdziwieniem spojrzała na Piotra, a chmura mimowolnego rozdrażnienia zasępiła jej jasne czoło.

— Czy sądzisz, że chciałabym go wyzyskać?... że oboje z Kwiatkiem pójdziemy go prosić o wsparcie?

— Źle mnie zrozumiałaś moja droga. Mój dobroczyńca jest człowiekiem, nie znoszącym objawów wdzięczności; nie chce przedewszystkiem, aby nawet jego lewica wiedziała, co daje prawica. Zakazał mi przed kimkolwiek wymieniać swego nazwiska. Musiałem mu przysiądz na to.

— Rozumiem go, rozumiem – szepnęła Rózia uspokojona. Codziennie myśleć o nim będziemy z Jankiem. Wydaje mi się tak szlachetny i wyższy od innych ludzi, że nie zbliżyłabym się do niego inaczej, jak na klęczkach.

Do ciemnej izby przedarł się blask świtania i bladą jasnością rozlał się po wilgotnych i brudnych ścianach. Wróble zaświergotały nad oknami budy, witając radośnie początek dnia. Piotr powstał z miejsca.

— Bądźcie zdrowi – rzekł, całując siostrę i przyjaciela. Mieszkam na Żelaznej, pod siedemdziesiątym pierwszym numerem. Przyjdźcie mnie odwiedzić razem.

— Przyjdę — odpowiedziała Graziella – przyjdę niezawodnie, żeby ci pozować do obrazu.

— Jesteś piękną, siostrzyczko... Postaram się odmalować cię taką, jaką jesteś. Portret twój będzie mojem arcydziełem.

III.

Młody artysta, po dość długiej wędrówce po ulicach Czystego i Warszawy, zatrzymał się nareszcie przy Żelaznej, przed sztachetami z sosnowego drzewa. Otworzył furtkę kluczem, który miał w kieszeni, przeszedł niewielki ogródek, w pośród którego wznosiło się kilka altanek ze stołami i krzesłami, polakierowanemi na zielono. W sobotę i niedzielę wieczorem, gromadziła się tu ludność robotniczej dzielnicy na piwo, dostarczane przez właściciela marnej „bawaryi“.

W głębi ogródka wznosił się front dwupiętrowej kamienicy, pokryty festonami dzikiego wina i bluszczu, pnących się gęstemi gałązkami po drewnianych kratkach, przybitych gwoździami do muru. Przy drzwiach wchodowych domu rosły dwa krzaki róż sztamowych, odartych z kwiecia.

To dzikie wino, bluszcze i róże nadawały „posesyi“ odrębną i niezwykłą cechę. To też cała prawie kamienica zamieszkaną była przez malarzy i rzeźbiarzy, którzy za dość skromne komorne, opłacane w dodatku bardzo nieregularnie, znajdowali tu światło, odpowiednie do swej artystycznej pracy.

Na progu drzwi stała stara kobieta, od lat kilku wdowa, dozorczyni domu.

— O! pan Piotr dziś nie nocował u siebie – zawołała, spostrzegłszy zbliżającego się młodzieńca. Ładnie! bardzo ładnie!

— A skąd pani Grzegorzowa wie, że nie nocowałem?

— Ja zawsze wiem wszystko... przedemną nic się nie ukryje.

— Byłem na Woli... poszedłem tam, żeby patrzeć na wspaniały zachód słońca...

— Od zachodu do wschodu.

Pomiędzy Grzegorzową a Piotrem panowały stosunki bardzo przyjazne. Młody człowiek, wychodząc na miasto i wracając do domu, chętnie zatrzymywał się w pokoiku stróżki, żeby z nią pogawędzić o dawnych „dobrych“ czasach“, gdy — jak zapewniała wdowa — ludzie byli cnotliwi i lepsi niż dzisiaj“ — Ile razy staruszka gotowała dla siebie mięso na obiad, a trafiało się to czasem dwa razy na tydzień, w czwartek i niedzielę, malarz dostawał od niej pełen talerz gorącego rosołu z jarzynami, a był to dla niego bal prawdziwy, bo bardzo często musiał dzień cały przeżyć o suchym kawałku chleba, bo nie było za co nawet sera kupić.

— Niech mój drogi pan mi wierzy, że na Wolę lepiej po nocy nie latać. Kręci się tam cała ćma obiboków i rabusiów. Nie mieliby wprawdzie z czego pana obedrzeć, ale andrus, jak pijany, o nic nie pyta i gotów najuboższego człeka nożem przewiercić.

— Ma pani racyę, lecz przecież ja co noc nie latam... raz dziś poszedłem, żeby naszkicować zachód słońca...

— Bądź co bądź zawsze ostrożnym być należy. Ja, panie Piotrze, bacznie domu pilnuję, a jednak nieraz ustrzedz się nie mogę od rozmaitych podejrzanych figur, podchodzących z Czystego aż do nas. Parę dni temu naprzykład przywlekła się tu ohydna para, on pijak i ona pijaczka. Wiem oddawna, że żyją, wyzyskując pracę własnych dzieci. Mają zaś, jak jacy najuczciwsi ludzie potomstwo cacane. Córeczka cudnie piękna, sprzedaje fiołki, a syn gipsowe figurki. Ten, co prawda, ładny nie jest, zawsze chmurny i nierozmowny... ma jednak w sobie coś pańskiego. Porusza się i mówi wcale inaczej niż wszystkie inne łobuzy, trudniące się handlem ulicznym. Jakiś taki, jakby edukowany, jakby



Tak, droga pani, odgadłaś treść pisma!

w puchach, na batystach urodzony... Ja się na tem znam, bo za dawnych dobrych czasów, sługiwałam w magnackich, hrabskich... ba! nawet książęcych domach.

Piotr, który całego opowiadania słuchał z pewnem wzruszeniem, pożegnał Grzegorzową i pobiegł po schodach na drugie piętro do swojego pokoju. Gdy wszed do malutkiej izdebki, tworzącej zarazem sypialnię i pracownię, ogarnął go wielki smutek. Słowa stróżki nakazywały ostrożność. Kto wie, czy — żeby uniknąć zetknięcia się z rodzicami – nie będzie zmuszony opuścić mieszkanie z pysznem światłem, do którego przywykł, a może nawet i przywiązał się poniekąd, tu bowiem wiodła mu się robota, a świadczyły o tem liczne szkice i studya, wiszące na ścianach, odczute i namalowane z szczerą i szczęśliwą wrażliwością artystyczną. Pogrążony w dumaniach zapomniał zamknąć drzwi na klucz. Wtem po cichu rozwarły się one, a na progu ukazała się Grzegorzowa z szklanką herbaty w ręku. Postawiła ją na małym stoliku pod oknem.

— Podzieliłam się z panem moją herbatą bo całą noc nie spałeś, więc potrzebujesz czemkolwiek się orzeźwić. Po kilkogodzinnej bezsenności nic lepszego nad barszcz, lub herbatę z cytryną. A właśnie i plasterek cytryny wrzuciłam do szklanki.

— Dziękuję, bardzo dziękuję... wiem, jak pani herbatę lubi, nie chcę zatem, żebyś mnie swoją porcyą poiła...

— Nie rób pan próżnych ceregieli! Kiedy przyjaźń, to przyjaźń! Ci, co sobie wzajemnie dobrze życzą, powinni sobie pomagać. Czyżbyś się pogniewał na mnie za to, że radziłam, abyś wczas do domu powracał?... ależ przecie znamy się od lat pięciu bez mała i spoufaliliśmy się z sobą. Przyzwyczaiłam się uważać pana za syna, bo wiem, że jesteś sierotą, że nie masz ani ojca, ani matki, ani rodzeństwa, ani żadnych krewnych.

Usiadła przy Piotrze, wyciągnęła z kieszeni olbrzymiego, perkalowego fartucha kopertę i położyła ją na stoliku, obok szklanki z herbatą.

— List ten – rzekła – przyniósł listonosz jeszcze wczoraj wieczorem. Zapomniałam oddać go panu na dole, więc teraz oddaję.

Piotr rozdarł kopertę i czytał po cichu:

„Kochany chłopcze.

„Czekać będę na ciebie jutro o godzinie piątej. Otrzymasz zamówienie na korzystną robotę. Idzie tu o pracę, która nietylko zysk ci przyniesie, lecz zarazem, da poznać twój talent w kołach ludzi, posiadających wpływy i znaczenie.

Do jutra zatem

Filip Glenmoure“.

— Oho! widzę radość na pańskiej twarzy. Nowiny, które wyczytałeś w liście muszą być dobre — rzekła Grzegorzowa. Założyłabym się, że to obstalunek, bo zwykle cieszysz się tylko wtedy, gdy masz nadzieję sprzedać jaki obrazek.

— Tak, droga pani, odgadłaś treść pisma!

— A czy ja nie mówię zawsze, że zostaniesz bogatym!... Tak, tak, będziesz nim niezawodnie, bo pracujesz wytrwale i malujesz bardzo pięknie!

Już nieraz staruszka przepowiadała Piotrowi tryumfy i sukcesy, a poczciwe jej, chociaż prostą słowa, wzmacniały w nim męstwo, budząc w sercu ufność i nadzieję. To też i teraz, cały rozpromieniony, uściskał Grzegorzową serdecznie, a gdy wyszła z pokoju, zajął się energicznie czyszczeniem swego drugiego, odświętnego ubrania, w którem jednakże trzeba było zaszyć i zacerować parę dziurek, a miejsca wytarte zamalować ciemną farbą.

Żeby się nie spóźnić, wyszedł z domu o wpół do piątej.

Gdy znalazł się na Marszałkowskiej, spojrzał dla zoryentowania się w jedną i drugą stronę, poczem ruszył na prawo. Po chwili zatrzymał się przed niedawno wzniesionym domem, o bogatym renesansowym frontonie.

Zadzwonił.

Szwajcar, w czarnej liberyi, otworzył bramę, wskazując Piotrowi główne wejście w głębi podwórza. Młody człowiek znał je dobrze, więc prosto udał się ku wielkiej werendzie oszklonej, kędy na ławce siedział służący Filipa Glenmour. Oddał mu swój bilet wizytowy. W parę minut, pokojowy wrócił i wprowadził młodego malarza do obszernego gabinetu, udekorowanego obrazami starych mistrzów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Krwawe dni w Baku.

Gdy pożoga rewolucyi ogarnęła całe rosyjskie imperium i na jednem miejscu chwilowo przytłumiona — wybuchała tem silniej w drugiem. — Wtedy i kresy państwa rosyjskiego stanęły w płomieniu, Królestwo Polskie na zachodzie — Kaukaz na wschodzie europejskiej Rosyi, podniosły równocześnie prawie sztandar buntu i rewolucyi, aczkolwiek geneza i tło wolnościowego ruchu były w obu krajach całkiem odmienne. W Królestwie Polskiem rewolucya wybuchła pierwotnie na tle ekonomicznem, a potem dopiero przybrała charakter rewolucyi politycznej — narodowej. Na Kaukazie wybuchły rozruchy, można powiedzieć, przypadkowo, a źródłem ich była narodowa nienawiść między dwoma szczepami, zamieszkującymi Kaukaz. Ormianie i Tatarzy żyli od wieków w sąsiedztwie bliskiem. Pierwszym udało się dzięki wysokiej inteligencyi, sprytowi i przebiegłości uzyskać znaczną przewagę nad liczebnie silniejszymi Tatarami, podczas gdy ci ostatni zepchnięci przez nich zostali do roli proletaryatu. W takiem położeniu nie wiele już potrzeba do wybuchu; lada drobna okoliczność wystarcza, by sprowadzić katastrofę. Drobną taką okolicznością — która spowodowała atoli krwi rozlew i łuny pożogi — było aresztowanie pewnego Tatara przez Ormianina. Rozkiełznane namiętności dzikiego tłumu — dały swój wyraz w strasznej wzajemnej rzezi, urządzanej przez 4 dni z rzędu na ulicach miasta Baku. Wojsko i policya rosyjska konsystująca w mieście nie interweniowały wcale w kierunku uspokojenia mieszkańców, przeciwnie: powiększały jeszcze grozę i panikę, strzelając na oślep w skłębione w walce tłumy.

Krwawe dni Baku minęły — nie prędko preminie jednak ich pamięć u tych, którzy rzeź przeżyli. Gdy wreszcie wojsko było zniewolone grozą położenia wystąpić z pacyfikacyjną akcyą, gdy setki i tysiące pomordowanych w bratobójczej walce — zasłało ulice Baku — nastąpił wreszcie pokój.

Czy długo on potrwa? Czy przy lada okazyi nie wybuchnie znowu ze zdwojoną siłą dziki szał rasowej nienawiści? — najbliższa przyszłość pokaże.

Rycina nasza przedstawia ostatni akt krwawej tragedyi kaukazkiej. Oglądanie i rozpoznawanie poległych w czasie rzezi.



Zakład w Drohowyżu fundacyi St. hr. Skarbka: Obecny kurator instytucyi, potomek założyciela, Fryderyk hr. Skarbek.

Zakład w Drohowyżu fundacyi St. hr. Skarbka.

Są ludzie, wyposażeni wyjątkowem jakiemś uczuciem altruizmu, którzy życie swoje poświęcają dla drugich, a środki materyalne, jakie im los w ręce oddał, obracają dla uszczęśliwienia biednych i nieszczęśliwych, nie żądając dla siebie żadnej innej nagrody – prócz poczucia spełnienia wzniosłego obowiązku społecznego.

Do filantropów tej miary należy nieżyjący już dzisiaj ś. p. Stanisław hr. Skarbek. Wiekopomne jednak dzieło jego — fundacya zakładu dla sierot w Drohowyżu — przetrwała po dziś dzień, a w błogosławionej swej działalności stanowi najchlubniejszy pomnik dla zmarłego dobroczyńcy.

Zakład drohowyzki daje pomieszczenie, przytułek, wychowanie i naukę 341 sierotom płci obojej. Wychowanie ich rozłożone jest na 6 lat nauki szkolnej przy równoczesnem kształceniu pupilów w „pracy zręczności“ (slöjd). Prócz tego posiada zakład 4-letni kurs praktycznych rzemiosł, z których, ostatni rok może być odbytym u zamiejscowych majstrów. Pozatem jeszcze znajduje się na utrzymaniu instytucyi 65 prebendaryuszów.

Pupile zakładu drohowyzkiego otrzymują prócz nauki i życia — wszystko, co do normalnego, zdrowego, fizycznego rozwoju dziecka jest koniecznem. Jest więc i biblioteka, dostarczająca zdrowego pokarmu umysłowego dla nieletnich, są sale i boiska gimnastyczne dla ćwiczeń cielesnych.

Obecnym kuratorem zakładu jest Fryderyk hr. Skarbek, który zaledwie od roku objął rządy fundacyi skarbkowskiej.

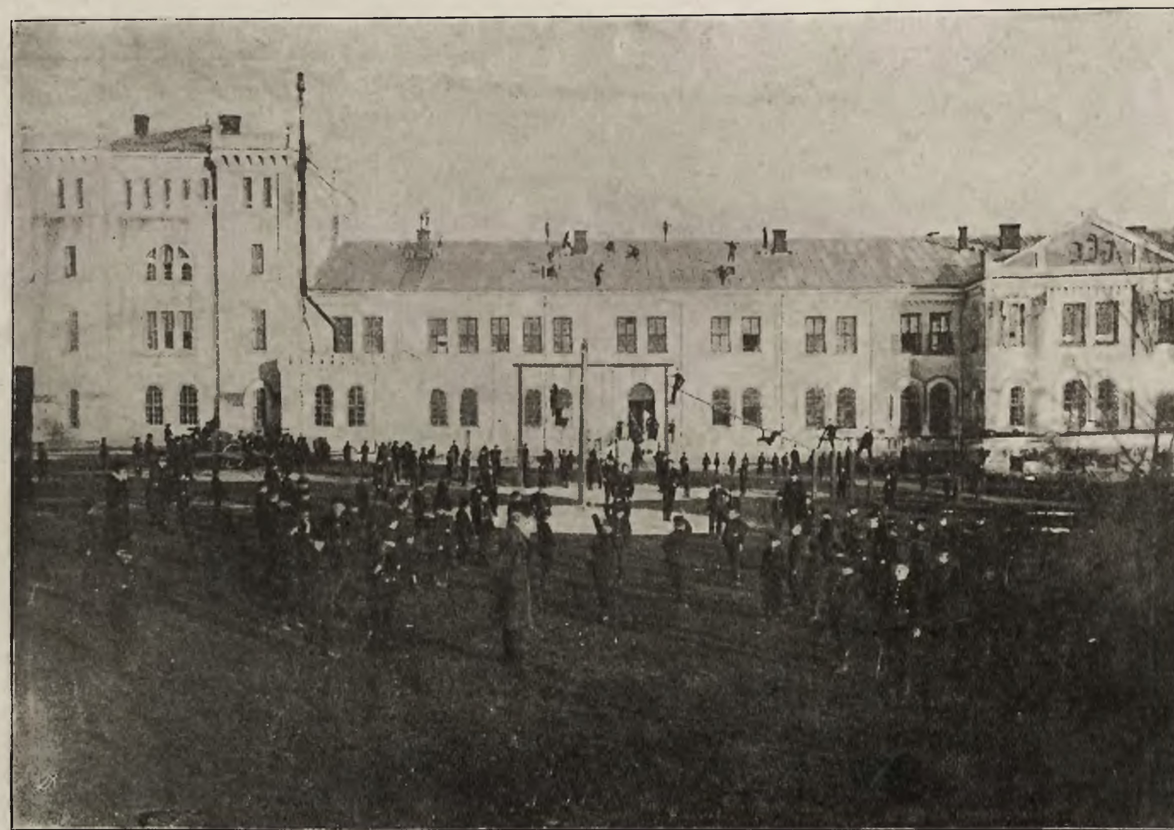
W bieżącym roku przypada 30-letni jubileusz oddania do użytku tej wiekopomnej instytucyi. Nie od rzeczy też będzie wspomnieć bodaj parę słów, o powstaniu fundacyi. Jak już nadmieniliśmy, instytut ten zawdzięcza egzystencyę ofiarności i prawdziwej magnackiej szczodrobliwości St. hr. Skarbka. Fundacyę stanowił cały majątek filantropa. Niepoślednia była to fortuna, składało się bowiem na nią 3 miasteczka i 37 wsi, prócz gmachu teatru miejskiego we Lwowie. Po długich a żmudnych pertraktacyach z rządem – powiodło się fundatorowi uzyskać dotyczące pozwolenie. Ponieważ jednak niemożliwą było rzeczą urzeczywistnienie tego projektu we Lwowie — z konieczności musiano to dzieło filantropijne przenieść do odległego Drohowyża.

Rada m. Lwowa uzurpuje sobie do dziś dnia prawo do nadzoru nad instytucyą. Jest to anomalią, tem większą, ile gmina stolicy nie przyczynia się dla dobra instytucyi. Owszem obciążyła ją jeszcze rozmaitymi ciężarami, niepomna widocznie na to, że przecież głównego kontyngentu wychowanków drohowyzkich dostarczają właśnie biedne, opuszczone dzieci lwowskie.

W numerze dzisiejszym podajemy reprodukcye portretów: założyciela instytucyi hr. St. Skarbka i obecnego kuratora Fryderyka hr. Skarbka. Trzecia rycina przedstawia sieroty drohowyzkie przy



Krwawe dni w Baku: Rozpoznawanie poległych podczas ostatnich rozruchów Ormian i Tatarów.



Zakład w Drohowyżu fundacyi St. hr. Skarbka: Ćwiczenia gimnastyczne wychowanków na dziedzińcu zakładu.

obiedzie we wspólnej jadalni, ostatnia zaś przy ćwiczeniach gimnastycznych na boisku.

Losy kapitana Szeptyckiego.

Hr. Szeptycki, Polak, brat arcybiskupa ze Lwowa, kapitan austryackiego sztabu generalnego korpusu krakowskiego, wyjechał z rozpoczęciem się wojny jako austryacki *attaché* do Mandżuryi, by w obozie rosyjskim poznać taktykę stron wojujących. Brał udział prawie we wszystkich potyczkach i ważniejszych bitwach, odznaczając się odwagą i walecznością, która zjednała mu popularność w armii rosyjskiej. Pod Liaojangiem był w najstraszniej-



Przyszły pogromca Japończyków: Wielki książę Mikołaj Mikołajewicz.



Zakład w Drohowyżu fundacyi St. hr. Skarbka: Fundator instytucyi śp. Stanisław hr. Skarbek.

szym ogniu i tu zginął jego służący w czasie odwrotu nad rzeką Szaho. Odwagą swoją kapitan Szeptycki zjednywał sobie sympatyę wszystkich, którzy go poznali, a jego nieustraszone męstwo imponowało wszystkim oficerom rosyjskim. Z początkiem lutego kapitan Szeptycki znajdował się w sztabie generała Bilderlinga, a więc w samem centrum armii rosyjskiej nad rzeką Hun, niedaleko od Mukdenu. Od tego czasu kapitan Szeptycki nie daje jednak znaku życia o sobie.

Wiadomo tylko tyle, że nosił się z zamiarem udania się do dywizyi generala Rennenkamfa, która była na lewym flanku armii rosyjskiej.

Z rozpoczęciem się strasznych walk pod Mukdenem, musiał kapitan Szeptycki być już w dywizyi Rennenkampfa i brał prawdopodobnie razem z nim udział w walkach nad rzeką Hun. Wiadomo, że Rennenkampf został rozbity przez Japończyków i odcięty od całości armii ze swym korpusem. Prawdopodobnie więc i kapitan Szeptycki, o ile wyszedł cało z tych krwawych rozpraw nad rzeką Hun, tuła się wraz z dywizyą Rennenkampfa wśród gór na wschód od Fuszun i z braku łączności z centrum armii nie może przesłać jakiejkolwiek wiadomości o sobie. Tymczasem zakłopotana o los austryackiego *attaché* prasa – snuje najrozmaitsze przypuszczenia o jego przygodach w Mandżuryi.

Przyszły pogromca Japończyków.

Po strasznych klęskach caratu na Wschodzie, po niepowodzeniach, które wstrząsnęły całością Rosyi, postanowiono w Petersburgu wszelkimi możliwymi środkami podtrzymać zagrożoną powagę mocarstwową Rosyi i rada wojenna wysila swe mózgi nad znalezieniem jakiegoś utalentowanego i opatrznościowego męża, któryby swemi zdolnościami uratował ojczyznę od grożącej jej katastrofy.

Był projekt, by sam car stanął na czele armii, a niezawodnie duch w wojsku tak na tem zyskałby, że zwycięstwo nad Japończykami byłoby pewne. Obecnie chodzą słuchy, że W. książę Mikołaj Mikołajewicz ma objąć naczelne dowództwo. Mianowanie Liniewicza naczelnym wodzem jest tylko czasowem i zadaniem jego jest doprowadzić rozbitą armię do Charbina. Tu ma być punkt oparcia dla rozbitków z pod Mukdenu. Po przybyciu z Rosyi posiłków w sile około 240 tysięcy wyborowego wojska, W. książę Mikołaj Mikołajewicz stanąłby na czele całej armii i wystąpiłby do ostatecznej rozprawy z Japonią.

Ile w tych projektach jest prawdy — nie wiadomo. Na razie można tylko stwierdzić, że nawet rosyjscy krytycy i fachowcy wypowiadają się przeciw dalszemu prowadzeniu wojny, wiedząc, że rezultaty w przyszłości nie byłyby inne od dotychczasowych, a może jeszcze i gorsze! Klęski Rosyi w tej wojnie, nie są wynikiem specyalnej winy jakiejś jednostki, ale cały system rządów, całość despotycznego ustroju znajduje się w stanie zupełnego rozkładu i bankructwa i dlatego słuszne są głosy, które wzywają do zaniechania prowadzenia nieszczęsnej wojny, a do obrócenia wszystkich sił do pracy na wewnątrz.

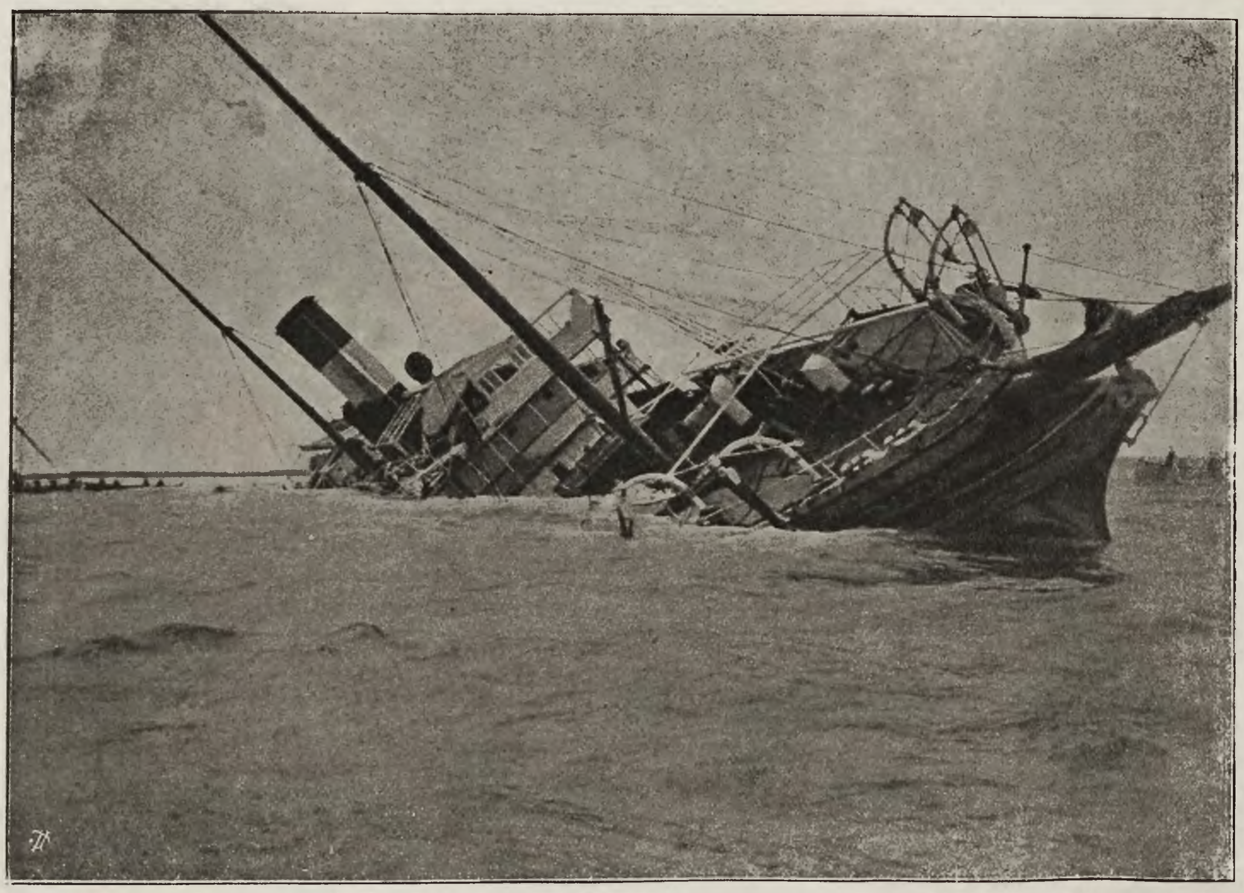
Dramat na morzu.

Morze to olbrzym, pełen grozy nawet wtedy, gdy nie wstrząsają nim konwulsye gniewu — burze. Cóż dopiero, gdy olbrzym ten rozpęta swoje namiętności, gdy ryknie huraganem i spiętrzy w żywe góry i przepaście wody swoje?

Jakżeż małym i nikłym musi się sobie samemu wydać człowiek, rzucony w wątłej łupinie, którą szumnie parowym statkiem nazywa! Nic się nie da poprostu porównać z bezmierną grozą i rozpaczliwością sytuacyi statku, zaskoczonego burzą



Zakład w Drohowyżu fundacyi St. hr. Skarbka: Sala jadalna dla dziewcząt.



Dramat na morzu: Statek „Kairo“ w krytycznej chwili tonięcia przed portem El Agani.

morską. Ocaleni zrządzeniem Opatrzności ludzie, wychodzą nieraz ze zamroczonym umysłem i siwymi włosami z katastrofy.

Straszną taką noc przeżyła załoga i pasażerowie okrętu „Kairo“, który przybywszy z Włoch do Aleksandryi, rozbił się na skale podwodnej, tuż u wejścia do portu, przy przylądku El Agani. Winę katastrofy ponosi wyłącznie kapitan statku.

Przez lekkomyślność i brak rozwagi, cechującej postępowanie marynarza — nie zażądał on przewodnika, lecz z okrętem postanowił sam wpłynąć do przystani. Podjechawszy do portu, chciał cofnąć okręt — niestety! zapóźno.

Statek szybkim ruchem rzucony został o podwodną skałę i doznawszy poważnego uszkodzenia, pochylił się znacznie na bok. Panika ogarnęła pasażerów i dopiero po jakimś czasie udało się kapitanowi i załodze uspokoić na pół ze strachu obłąkanych ludzi.

Kapitan, zamiast natychmiast wysłać łódź do portu z zawiadomieniem o grożącem niebezpieczeństwie — ograniczył się tylko do sygnalizowania zapomocą rakiet, co pozostało jednak bezskutecznem. Pomoc się nie zjawiała, natomiast położenie zagrożonego okrętu doszło do stanu nader krytycznego. Okręt leżał już całkiem bokiem na powierzchni wzburzonego morza. Woda zalała pokład, a pasażerowie stali po szyję w wodzie – krzycząc w niebogłosy o pomoc i modląc się na przemiany. Nareszcie zdecydował się kapitan na wysłanie łodzi do portu z prośbą o natychmiastowy ratunek. Działo się to w nocy, można więc wyobrazić sobie — przez jakie piekło trwogi przeszli podróżni. Dopiero nad ranem zjawiły się ratownicze statki i linami – wśród rozhukanych fal — powiodło im się ściągnąć okręt ze skały i w bezpieczniejszem miejscu przesadzić pasażerów na inne okręty.

Na szczęście obyło się bez ofiar w ludziach – cały statek atoli wraz z mieniem podróżnych i wielkim ładunkiem złota, wiezionym dla banku „*di Roma*“ poszedł w pół godziny potem na dno.

Mała jest nawet nadzieja wydobycia złota przy pomocy nurków, ze względu na ogromnie burzliwe fale i piaszczyste, grząskie dno Morza Śródziemnego w tych stronach.

Ś. p. Marya Wysłouchowa.

Zmarła we Lwowie dnia 20 marca Marya Wysłouchowa, znana poetka ludowa, żona rodaktora „Kuryera Lwowskiego“ i wybitna działaczka na polu oświaty ludowej.

Przybyła do nas z Litwy w r. 1866, a przyniósłszy z sobą hart ducha i święty zapał w sercu, wszystkie swe siły oddała pracy nad ludem, który garnął się do niej z miłością i całkowitem zaufaniem. Uważając lud za podstawę narodu — jemu poświęciła całe swe życie i była jedną z pierwszych u nas, która zrozumiała duszę chłopską i potrafiła odczuć krzywdy i dolę tego ludu. Z pod jej pióra wychodziły popularne książeczki, przeznaczone dla ludu: o Kościuszce, o powstaniu styczniowem, o majowej konstytucyi, o Kornelu Ujejskim i wiele innych. Była współpracowniczką organu stronnictwa ludowego „Przyjaciel ludu“ — a w ostatnich latach wydawała pismo dla kobiet p. t. „Zorza“. W ruchu kobiecym odegrała wybitną rolę, oddziałując na liczne zastępy kobiet w duchu postępowym.

Pogrzeb Jej, który odbył się dnia 22 marca był prawdziwą manifestacyą ludową dla Tej, która swe życie całe poświęciła drogiej idei: pracy nad ludem.

Wszystkie warstwy narodu wzięły udział w jej pogrzebie, a nie brakło i ludu wiejskiego ze wsi okolicznych. Na pogrzeb przybyło wielu posłów z całej Galicyi.

Trumnę nieśli ku mogile posłowie ludowi i liczni włościanie.

Delegaci licznych Towarzystw z całego kraju postępowali przed konduktem pogrzebowym.

Trumnę w mogile obsypały dziewczęta wiejskie wśród śpiewu barwinkiem, bluszczem i pierwiosn-



Fot. E. Brodkowski. Lwów.

S. p. Marya Wysłouchowa: Chwila podczas mowy żałobnej posła Bojki, po wyniesieniu trumny z domu żałoby. Za trumną mąż zmarłej, p. Wysłouch, redaktor „Kuryera lwowskiego“.



Śmierć zasłużonego pedagoga: Ś. p. Józef Wójcik zmarły niedawno dyrektor gimnazyum w Jarosławiu.

kami — a gdy już rodzinna ziemia pokryła zwłoki, publiczność zaintowała „Z dymem pożarów“.

Żegnali zwłoki imieniem ludu: poseł Bojko, imieniem kobiet polskich: p. Wanda Dalecka, imieniem duchowieństwa: ks. Anioł, wreszcze imieniem młodzieży: Adam Zagórski.

W zmarłej traci kraj jedną z najpiękniejszych i najbardziej około pracy nad ludem zasłużonych postaci. Żegnali jej zwłoki wszyscy z żalem, bo czuli, że ubyła jedna z poważnych sił w naszym narodzie.

Cześć jej pamięci!

Ś. p. Walery Eliasz.

Sztuka polska ponosi w ostatnich czasach dotkliwe ciosy. Śmierć nieubłagana zabiera z nielicznego grona artystów coraz to nowe ofiary. Przed kilku miesiącami zginął tragiczną śmiercią młody, utalentowany malarz Pawliszczak w Warszawie, a rzeźbiarz Barącz zmarł w zeszłym tygodniu we Lwowie.

I krakowska kolonia artystyczna musiała śmierci opłacić swój trybut. Los padł tym razem na cichego a wielce zasłużonego pracownika niwy artystycznej ś. p. Walerego Eliasza.

Ś. p. Walery była to postać dobrze znana w mieście naszem i rzec można, tak przystosowana do starych murów Krakowa, że istotnie ze śmiercią nieboszczyka znikła jedna z najpopularniejszych i najsympatyczniejszych figur z bruku krakowskiego. Ubrany zawsze w narodową czamarę i czapkę z piórem, z zakopiańską „ciupagą“ w ręku przemykał się Eliasz po ciasnych ulicach starego Krakowa — lub szukał spoczynku, a może i natchnienia, przy szumie kasztanów na Plantach.

Ale nietylko jako artysta zasłużył się ś. p. Eliasz społeczeństwu. Pod tą czarną, skromną czamarą biło gorące serce obywatela i patryoty. Był czynnym członkiem Towarzystwa tatrzańskiego i położył około rozwoju polskiej turystyki niespożyte zasługi. Był również przez szereg lat członkiem zarządu „Sokoła“ i wielu innych stowarzyszeń.

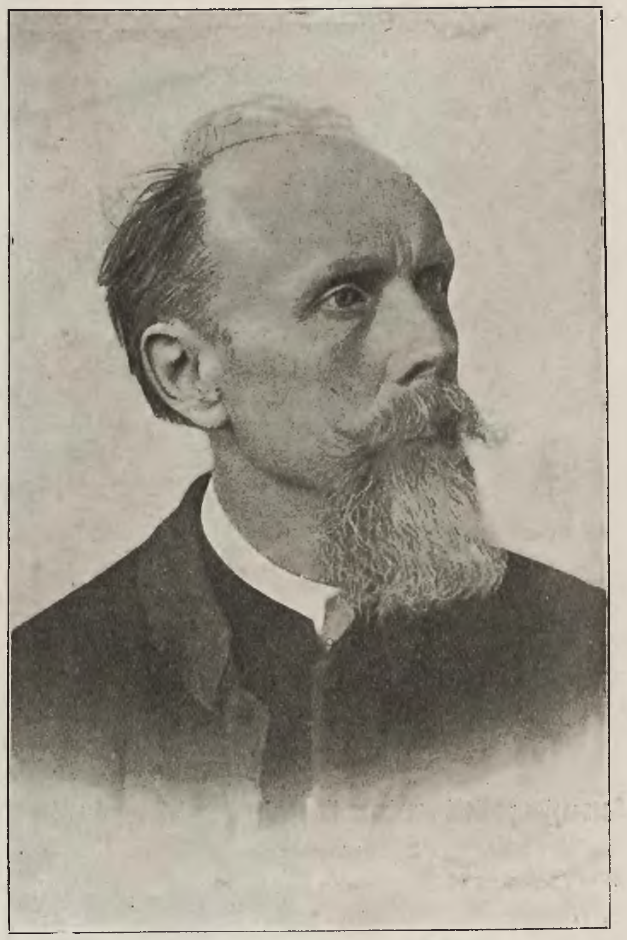
A teraz kilka dat z życia artysty. Ś. p. Walery Eliasz-Radzikowski urodził się w Krakowie w roku 1840 i tu ukończył studya gimnazyalne i Szkołę Sztuk pięknych. Następnie odbywał wyższe studya artystyczne w Monachium, Paryżu, Belgii, Holandyi i Włoszech. W r. 1873 został nauczycielem rysunków w gimnazyum św. Anny i w żeńskiem seminaryum nauczycielskiem. Z licznych jego płócien i prac rysunkowych zasługują w pierwszym rzędzie na wymienienie: „Długosz“, „Sobieska z synami u grobowca Żółkiewskiego“, „Sobieski pod Wiedniem“, „Żółkiewski pod Cecorą“, „Obrona Krakowa przed Szwedami“, „Ksiądz Kordecki“. Z rodzajowych prac: „Gerwazy“, „Sabała“, „Gęślarz“, „Kłusownik“.

Śmierć zasłużonego pedagoga.

Żałobna wieść przebiegła w niedzielę dnia 19 b. m. ciche miasteczko Jarosław. Zmarł zasłużony pedagog, i prawy patryota — ś. p. Józef Wójcik, dyrektor miejscowego gimnazyum męskiego. Zmarły był człowiekiem pojmującym wzniosłe obowiązki swego zawodu. Przy wysokiem wykształceniu, posiadał nietylko trudną umiejętność nauczania, ale również trudniejszą jeszcze umiejętność pozyskiwania sobie serc młodzieży. To też śmierć ukochanego dyrektora odbiła się żałobnem echem w młodych sercach wzrastającego pokolenia, jak i niemniej w sercach rodziców.



Ś. p. Marya Wysłouchowa: Zmarła 20 bm. we Lwowie.



Ś. p. Walery Eliasz: Zmarły przed kilku dniami znany artysta malarz.

W smutnym obrzędzie pogrzebowym wzięło udział całe miasto i okolica. Przybyło duchowieństwo obu obrządków z ks. infułatem Teofilem Łękowskim i proboszczem gr.-katolickim ks. kanonikiem Janem Chołonieckim na czele. Za trumną postępował między innymi starosta Grodzicki, burmistrz Dr Ditius, przedstawiciele władz rządowych i autonomicznych, oraz delegacye przyróżnych towarzystw i korporacyi.

W żałobnym pochodzie przewieziono zwłoki do kościoła farnego, a stamtąd przenieśli uczniowie na swych barkach trumnę na cmentarz. Po drodze wykonywał naprzemian chór polski i ruski pieśni żałobne, a na cmentarzu, nad otwartą mogiłą przemówił prof. Rychlik — oddając ostatnie pożegnanie i cześć zmarłemu — cześć pamięci zacnego i zasłużonego ojczyźnie człowieka!...



Fot. E. Brodkowski. Lwów.

S. p. Marya Wysłouchowa: Pochód pogrzebu przez ulicę Piekarską.



ZLADAMI ZBRODNI

Scenzayjna powieść osnuta na tle pamiętników tajnego detektywa.

Z rosyjskiego przełożył A. S.

4 (Ciąg dalszy).

— A wiesz na pewne, że Wiera tu się ukrywa?! — zasyczał starzec.

— Wiem! wybiegłem przecież zaraz za nią wtedy, jak uciekła, gdy ją chciałem uściskać i przyhołubić! — odrzekł chmurno parobczak — wtedy, jak uciekła i dlaczego? Czy to narzeczony nie ma prawa swojej dziewczyny popieścić, przytulić do siebie!...

— E! — mruknął starzec — dziewka, jak pies! musi się naprzód przyzwyczaić do pana swego, zanim jeść będzie z ręki!... A ona jakoś nie bardzo lgnie do ciebie i dalibóg mógłbyś dać jej spokój!...

— A jakże! nie będzie go prędzej miała aż zostanie moją, rozumiesz stary — zapienił się parobczak! Wybiegłem więc za nią i ścigałem wśród śnieżnej zamieci... Widziałem, jak upadła nad brzegiem Newy, jak on ją wziął na ręce i zaniósł tu, do tego domu... Gdyby nie to, że przez firanki dostrzegłem cień jakiejś starej kobiety, pewnie jego matki, byłbym w nocy napadł go jeszcze i Wiera byłaby już w mem ręku!...

— Iwan! — zaskrzeczał groźnie stary — pamiętaj, że my nie możemy wyprawiać awantur!..

— Wielkie rzeczy! — odmruknął parobczak — rozbiłem jednemu głowę, potrafiłbym i drugiemu!...

— Cicho!... ty cicho bądź! nie wspominaj nawet o tem, bo szubienica niedaleko...

Starzec urwał, bo w tej chwili otworzyły się drzwi i do izby wszedł Włodzimierz wraz z matką i Wierą.

Młoda dziewczyna jeszcze raz padła ojcu do stóp i ze łzami poczęła go błagać, aby ją zostawił w Petersburgu.

— Słuchajcie-no Lubasz! — rzekł poważnie Włodzimierz — wasza córka śmierci szukała wczoraj, byleby tylko nie zostać żoną człowieka, którym się brzydzi, którego nienawidzi. Chcecie śmierci dziecka, to bierzcie ją ze sobą, ale pamiętajcie, że odpowiecie kiedyś za jej zmarnowane życie przed Bogiem!...

— Znalazł się pop do kazania! — zaśmiał się dziko Iwan — chcecie, czy nie chcecie, musicie oddać córkę ojcu, a nie, to się zawezwie policyi i sprawa raz dwa będzie ukończona!...

Włodzimierz czuł dobrze, że prawo było po stronie parobka, ale nie chciał dać jeszcze za wygraną.

— No Lubasz! — rzekł, zwracając się do starca — ja mówię do was, do ojca! Chcecie śmierci swego dziecka?

Starzec wzdrygnął się, ale spojrzawszy na Iwana, który groził mu wzrokiem, wykrztusił powoli:

— Niech tam będzie co chce! Wiera musi jechać z nami!...

— Tak, musi jechać! — krzyknął tryumfująco Iwan — musi jechać, a za parę tygodni pop nas w cerkwi połączy, bo my się kochamy jak gołąbki! Prawda Wiero?!...

Ani łzy, ani prośby biednego dziewczęcia nie wzruszyły starego Lubasza! Chwilami zdawało się, że już gotów jest odstąpić od swego żądania i zostawić Wierę w stolicy, lecz wówczas Iwan spoglądał nań takimi oczyma, że starca mróz przechodził i przywracał mu dawny upór.

— Dość tego! — huknął wreszcie zniecierpliwiony parobczak, chwytając za ramię klęczącą u stóp ojca dziewczynę — chodź Wiera! Sanie czekają a czasu szkoda!..

Dziewczyna zadrżała i zbladła, a Włodzimierz, uniesiony gniewem, postąpił krok naprzód, chcąc wyrwać ją z rąk Iwana.

Krzyk przerażenia wyrwał się z piersi pani Bohdan, która dotychczas w milczeniu przypatrywała się tej przykrej scenie. W ręku parobczaka błysnął nóż. Chwila jeszcze i pewnie ostrze jego utonęłoby w sercu Włodzimierza. Lecz Wiera, ujrzawszy to, szybko zerwała się z klęczek.

— Chodź ojcze! Jestem gotowa! pójdę z wami!...

I zarzuciwszy szalik na głowę, skierowała się ku drzwiom. Stary Wasyl, jakby gnany furyami, pospieszył za nią; ostatni ruszył z miejsca Iwan.

W drzwiach obrócił się raz jeszcze i pogroził Włodzimierzowi pięścią.

— Uważaj ty! nie właź mi w drogę, bo prędzej pójdziesz do nieba, niż się spodziewasz!...

Gdy drzwi się zamknęły za odchodzącymi, Włodzimierz padł na krzesło i zapłakał jak małe dziecko.

— Matko! Matko! dlaczego ja jej obronić nie mogę!..

— Uspokój się synu! uspokój mój sokole! — pocieszała go pani Bohdan — cóż cię to może tak bardzo obchodzić?!...

— Co? – zaśmiał się gorzko młody detektyw — matko! oni nietylko zabrali stąd Wierę! Oni zabrali także... moje serce!...

Serce i obowiązek.

Ani czułe słowa matki, ani jej łzy nie zdołały uspokoić Włodzimierza. Jak struty chodził po pokoju, myślą ścigając każdy krok ukochanej, a stara pani Bohdan z troską spoglądała na jego chmurną twarz, pocieszając się tem jedynie, że Włodzimierz zapomni kiedyś o tem jasnowłosem dziewczęciu, którego już chyba nie ujrzy na swoje oczy.

Wiera wyspowiadała się jej dokładnie. Gdy nędza zaglądnęła do gospody na pustkowiu, stary Lubasz przywiózł ją do Petersburga i dał na wychowanie do swych dalekich krewnych. Tu była szczęśliwą, jak nigdy w świecie i nie przypuszczała, żeby ojciec zabrał ją kiedykolwiek ze stolicy.

A jednak właśnie wtedy, kiedy najmniej się tego spodziewała, stary Lubasz zjawił się wraz z Iwanem w Petersburgu i oświadczył, iż musi wracać z nimi do gospody. Stosunki materyalne Lubasza nagle polepszyły się. Odziedziczył jakiś spadek i postanowił dźwignąć z gruzów swoją gospodę.

Stary Lubasz na śmierć zakatował swoją żonę, ale gdy złożył ją już w mogile, jak zwierzę przywiązał się do Wiery i dla niej na wszystko był gotów.

I o Iwanie opowiadała młoda dziewczyna matce Włodzimierza. Od niepamiętnych czasów wałęsał się on w okolicach Granowska. Nie było dworu, nie było chaty, gdzieby go nie brano na służbę, ale nigdzie nie mógł się długo utrzymać z powodu swego lenistwa i zuchwalstwa. Ludzie różnie mówili o nim, a byli tacy, którzy wprost twierdzili, że Iwan zdolny był nawet do morderstwa.

Jakim sposobem Iwan potrafił się wkraść w łaski starego Lubasza i pozyskać sobie taki szalony wpływ nad nim, to już było dla Wiery tajemnicą...

Przed paru miesiącami Wiera przybyła w odwiedziny do ojca. W gospodzie była taka nędza, że, gdyby młoda dziewczyna nie była przywiozła ze sobą zapasów żywności, nie byliby mieli co do ust włożyć.

Wówczas stary Lubasz wyznał otwarcie, że już dawno musieliby, on i Iwan, zginąć z głodu, gdyby nie karmili się zwierzyną, na którą Iwan ukradkiem polował.

A Iwan już wówczas zaczął jej nadskakiwać i prześladować swoją miłością. Wiera odjeżdżając, błagała ojca, aby nie wdawał się w żadne przyjaźnie z tym parobkiem, lecz stary Lubasz potrząsnął tylko smutnie głową. Widocznie był już przez Iwana zupełnie zawojowany.

Wiera powróciła do Petersburga i wciąż myślała o tej strasznej biedzie, z jaką musiał walczyć jej ojciec, gdy — najniespodziewaniej stary Lubasz zjawił się w stolicy i wysypał na stół przed córką nowe złote półimperyały!... Ale Wiery nie ucieszyło to bynajmniej, bo za plecami ojca zobaczyła Iwana, uśmiechającego się szyderczo.

— Odziedziczyłem spadek! — oświadczył stary Lubasz — odbuduję gospodę, pobierzecie się z Iwanem i będę mieszkał przy was na starość!...

Błagania Wiery i prośby, zaklęcia na wspomnienie matki były bez skutku. Wasyl Lubasz pozostał niewzruszony.

— Powiedziałem i tak się stanie! — rzekł twardo.

A Iwan pochwycił ją w swe ramiona i chciał złożyć na jej ustach pocałunek. Wówczas Wiera wyrwała się z jego objęć i uciekła.

Szukała śmierci, ale nadszedł Włodzimierz...

Pani Bohdan przebiegła w myśli to opowiadadanie młodej dziewczyny i krzątała się przy gospodarstwie.

Wiele rzeczy w niewinnej tej opowieści było dla niej niejasnych, nawet podejrzanych, ale nie myślała nawet wspominać o tem synowi, bo nie wiedziała, że istotnie mogłoby mu się to bardzo przydać!...

A Włodzimierz siedział nieporuszony na kanapce, z oczyma utkwionemi w kąt pokoju i dumał o niebieskich źrenicach Wiery i o jej włosach, jak len białych...

Nagle do pokoju weszła matka.

— Włodziu! — rzekła – przed dom zajechały jakieś sanki, a w nich siedzi dama, która się pyta o ciebie. Czy wpuścić ją tutaj?

— Dama? — zbudził się z zamyślenia Włodzimierz — nie wiem, kto to być może, ale trzeba ją puścić matusiu!...

Pani Bohdan pospieszyła na korytarzyk i stanąwszy w bramie zwróciła się do damy, strojnej w bogate, sobolowe futro.

— Proszę! niech pani wysiądzie! Mój syn Włodzimierz Bohdan jest w domu i może się z panią widzieć.

— To pani jest matką pana Włodzimierza? — zapytała wdzięcznym głosem nieznajoma, spoglądając uważnie na staruszkę — proszę, niechże mnie pani z łaski swojej zaprowadzi do niego.

Gdy nieznajoma weszła do pokoju, w którym był młody detektyw, zrzuciła woalkę z czapeczki, a Włodzimierz poznał w niej odrazu Konstancyę Jaroszynową. Szybko więc położył palec na ustach, dając jej znak, aby przy matce nic nie mówiła i przywitał się bardzo uprzejmie.

Konstancya zrozumiała widocznie o co Włodzimierzowi chodzi, bo podając mu rękę, odezwała się z całą swobodą:

— Daruje pan, że go tak nachodzę, ale mam malutki prywatny interesik, w którym chciałam zasięgnąć pańskiej rady.

Włodzimierz przysunął jej fotelik i zwrócił się do matki:

— Zostaw nas samych matusiu — rzekł, całując w rękę staruszkę — panią mogłaby twa obecność może krępować!...

Pani Bohdan opuściła pokój, a Konstancya Jaroszynowa odezwała się półgłosem:

— Czy nikt nas nie podsłuchuje?

— O, o to pani może być spokojną! — uśmiechnął się Włodzimierz — w tym domku mieszkam tylko ja i matka, a pokojówki, jak pani, nie mamy. Ja jestem tutaj, matka w kuchni przyrządza obiad, więc możemy mówić zupełnie bezpiecznie. Jedno tylko! Niech pani przed matką nie wspomina o moim rzeczywistym zawodzie; biedna staruszka nie miałaby ani jednej chwili swobodnej, gdyby wiedziała, na jakie niebezpieczeństwa jestem narażony...

— Pan musisz bardzo kochać swoją matkę! — szepnęła Konstancya.

— Jak matkę! — odpowiedział z prostotą Włodzimierz.

— Powróciłeś pan znowu – odezwała się po chwili Jaroszynowa — czy trafił pan na ślad jaki?

— Niestety! wszelkie moje usiłowania dotychczas były bez skutku!...

— Pańscy koledzy nie mogą się także niczem pochwalić, ale ja spodziewałam się, że oni nic nie znajdą i całą nadzieję pokładałam tylko w panu!...

Włodzimierz zacisnął pięści.

— Pierwszy raz spotyka mię takie niepowodzenie! – mruknął chmurno.

— Dlaczego pan zaraz po powrocie nie przyszedł mię o tem zawiadomić?

— Nie mogłem! Chciałem się sam wprzód uspokoić, zebrać myśli, bo przecież to może do wściekłości doprowadzić człowieka, jeśli się jest przekonanym o spełnieniu zbrodni, a nawet śladów jej znaleźć nie można. Dwunastu ludzi szuka, tropi, węszy i napróżno, bo zbrodniarze umieją się ukryć i drwią sobie ze sprawiedliwości!...

— I to ma mnie może uspokoić?!... — krzyknęła Konstancya Jaroszynowa — o! niech pan tego odemnie nie żąda! Cały mój majątek poświęcę, ale muszę odkryć morderców mego męża, muszę zwłoki jego złożyć w poświęcanej ziemi!...

Młody detektyw wzruszył ramionami.

— Robiłem, co tylko mogłem! niczego nie zaniedbałem, nic sobie nie mam do wyrzucenia! A że moje usiłowania były próżne...

— To podejmiesz pan pracę na nowo! – przerwała mu szorstko Konstancya.

Włodzimierz spojrzał na nią badawczym wzrokiem.

— Ciekawym tylko — szepnął — gdzie mam teraz zwrócić moje poszukiwania... Całą okolicę Granowska przeszukałem, jak swoją kieszeń!...

— Czy byłeś pan dzisiaj u policmajstra?

— Nie! — rzekł chmurnie detektyw — jestem teraz w niełasce i zapewne będę zmuszony wziąźć dłuższy urlop.

— Więc weź pan zaraz ten urlop! Wolny czas poświęcisz mojej sprawie, a ja już będę o tem pamiętać, żeby pańska matka nie zaznała tymczasem biedy!...

— Ba! gdybym to przynajmniej wiedział, gdzie mam się teraz zwrócić?...

Konstancya Jaroszynowa wyjęła z torebki jakiś list i podała go Włodzimierzowi.

— List od mego brata z Odesy. Przypadkowo udało mu się wykryć, dokąd Borys Jaroszyn miał wyruszyć z Granowska...

Włodzimierz wziął list i zaczął go czytać. Nagle jakis dziwny blask zajaśniał w jego źrenicach. Konstancya, która bacznie mu się przypatrywała, zauważyła to w tej chwili.

— Czy pan szukałeś w tych stronach? – zapytała nerwowo.

— Tak! — szepnął Włodzimierz — ale może trochę za powierzchownie! Nie myślałem bowiem nigdy, żeby Borys Jaroszyn miał jakiś interes w tej okolicy...

— I ja nie przypuszczałam tego, a jednak tak jest! Schowaj pan sobie ten list i ułóż nowy plan. Czy masz pan fotografię Borysa?

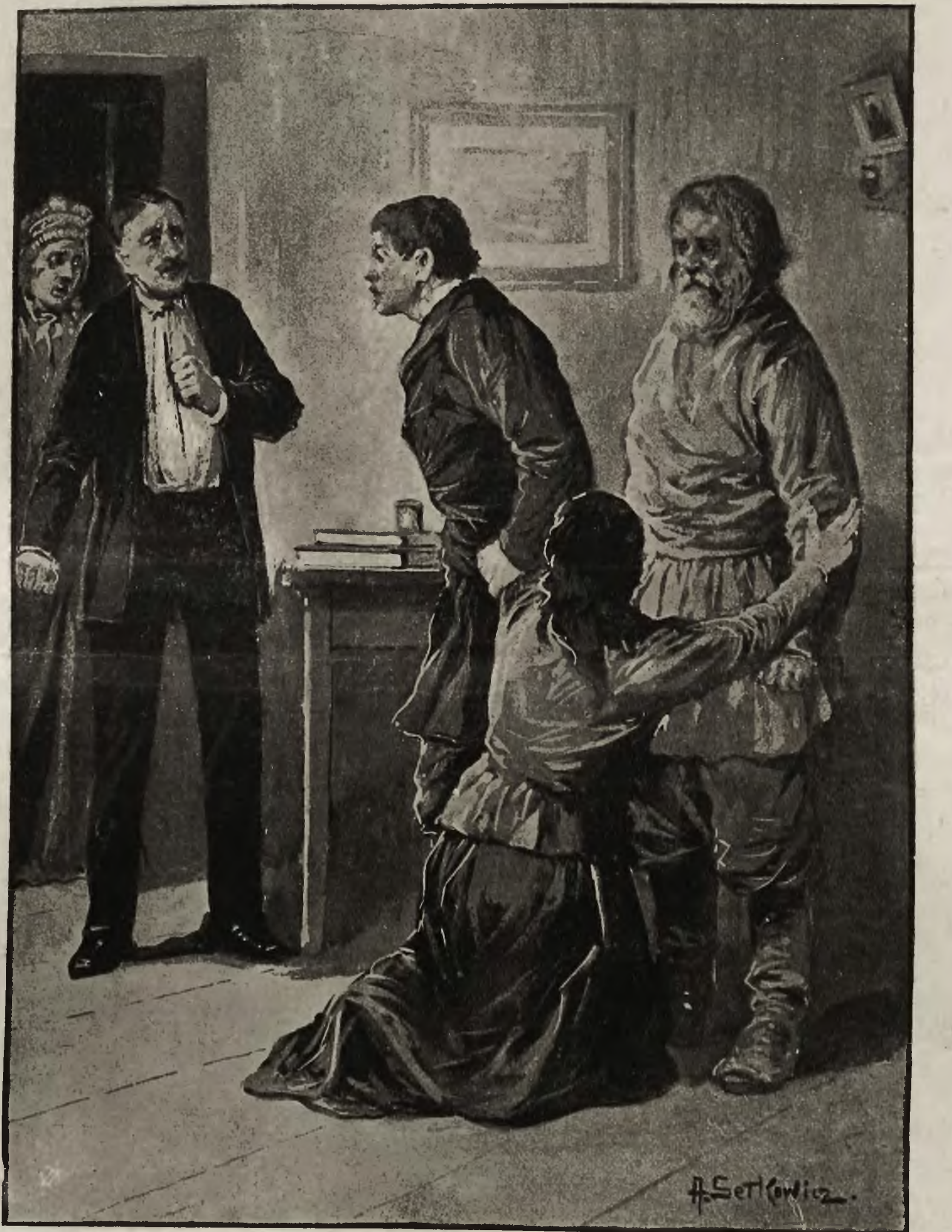
— Nie! – odpowiedział detektyw.

— Przywiozłam ją więc panu! – i to rzekłszy Konstancya Jaroszynowa położyła przed Włodzimierzem dużą, znakomicie wykonaną fotografię swego męża.

Fotografia przedstawiała mężczyznę w sile wieku, z twarzą otwartą, ocienioną dużą, czarną brodą. W oczach jego malował się spryt i odwaga, a atletyczna postawa pozwalała przypuszczać, że bezkarnie nie dałby on sobie nigdy odebrać życia. Morderstwo na nim musiano popełnić tylko podczas snu.

Myśl ta od razu zrodziła się w głowie Włodzimierza.

— Dziękuję pani! — rzekł, schylając lekko głowę — jeśli pani żąda, abym rozpoczął znów poszukiwania, to jestem gotów!...



Dość tego! — huknął wreszcie zniecierpliwiony parobczak...

Konstancya Jaroszynowa podniosła się z foteliku.

— Rzecz więc załatwiona! Kiedy pan wyjedziesz ze stolicy?

— Jutro, równo ze świtem!

– Zgoda.

To rzekłszy, pani Jaroszynowa dobyła z torebki paczkę banknotów i położyła je na stole przed Włodzimierzem.

— Panie Włodzimierzu! — rzekła z prośbą w głosie — wiem, że tego rodzaju poszukiwania połączone są ze znacznymi wydatkami! Całymi dniami możesz potrzebować koni, może będziesz musiał wynajmować ludzi... Weź więc te trzy tysiące rubli i nie oszczędzaj się wcale! Pamiętaj tylko o tem, że masz odkryć bądź co bądź morderców Borysa Jaroszyna i grób jego.

Włodzimierz schował banknoty do kieszeni.

— Może pani być spokojną! Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, ale jeśli i tym razem mi się nie uda, musisz pani dać za wygraną i czekać spokojnie, aż czas lub przypadek odkryją mordercę!...

Konstancya milcząco podała rękę młodemu detektywowi i już zabierała się do wyjścia, gdy w tem, jakby przypomniawszy coś sobie, stanęła i spojrzała na Włodzimierza.

— Jeszcze coś chciałam panu powiedzieć... to ciekawe... choć głupie... ale w każdym razie, to już coś niewytłumaczonego... Teraz, gdy przejeżdżam ulicą, wpatruję się mimowoli w każdą obcą twarz... W każdym obcym podejrzywam mordercę mego męża... Wiem, że to głupie, a jednak nie mogę pozbyć się tej dziwacznej manii...

Włodzimierz spojrzał badawczo w jej źrenice.

— To nie jest nic dziwnego, proszę pani! – odrzekł zwolna — z czasem to samo przejdzie! I ja w początkach mej służby cierpiałem na to!

— Posłuchaj pan dalej – zaczęła nerwowo Konstancya – dziś, kiedy właśnie jechałam do pana, na placu św. Michała spotkałam sanki, w których siedziało trzy osoby, dziewczyna i dwóch mężczyzn. Na dziewczę nie zwróciłam uwagi, ale mężczyznom przypatrzyłam się dobrze. Obaj byli ubrani w podniszczone kożuchy i baranie czapy. Starszy z nich, z siwiejącą, pomierzwioną brodą, spoglądał błędnie na przechodniów. Młodszy, rudawy, z wyrazem piekielnej złości w burych o czach, spojrzał na mnie... Zadrżałam!...

Konstancya Jaroszynowa umilkła i spojrzała na Włodzimierza.

— I co dalej?

— To śmieszne... to głupie... sama wiem o tem, a jednak... w tej chwili byłabym przysięgła, że... że to morderca mego męża patrzy na mnie!... Doprawdy, ja spokoju póty nie zaznam, póki zgon Borysa Jaroszyna będzie otaczać tajemnica!... Do widzenia!

Włodzimierz odprowadził Konstancyę Jaroszynową aż do sanek i powrócił do swej izdebki.

— Zaczynamy więc grę na nowo! — pomyślał — to ciekawe! A ciekawsze jeszcze spotkanie Jaroszynowej z Lubaszem i Iwanem! Chociaż... chociaż... jak ja mogę brać w rachubę podrażnione nerwy kobiece? Ten Iwan ma bardzo podejrzany wygląd, więc nic dziwnego, że na jego widok Jaroszynowa wzdrygnęła się, ale to mnie nie uprawnia jeszcze do żadnych podejrzeń!...

Przy obiedzie Włodzimierz milczał i dopiero, gdy matka podała mu herbatę, odezwał się półgłosem:

— Matuś! ja jutro ze świtem wyjeżdżam w interesach!...

– Znowu narażasz się na coś niebezpiecznego mój synku!...

— Nie jestem dzieciakiem matko, więc możesz być o mnie spokojną! – odparł Włodzimierz, całując czule ręce matki – gram! gram wysoką stawkę, ale pewny jestem, że muszę ją wygrać, lub...

— Lub co, co mój synku? – zapytała pani Bohdan niespokojnie.

— E! nic, nic mateńko! – szepnął młody detektyw — nic, lub... przegram i koniec!...

Jakoż na drugi dzień, skoro świt, Włodzimierz był już w drodze.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Nadużycia urzędników francuskich w koloniach afrykańskich: Savorgnan de Brazza, wysłany przez rząd francuski do Afryki z misyą przeprowadzenia ankiety.

Powrót Stössla z Dalekiego Wschodu.

Niefortunny obrońca Portu Artura przedwcześnie na bohatera narodowego pasowany — jenerał Stössel przypieczętował, jak się zdaje, raz na zawsze swoją wojskową karyerę. Po oddaniu Portu Artura Japończykom, nietylko Rosyanie, ale opinia publiczna całej Europy — łudziła się jeszcze, że przecież wódz, który przez tak długi czas zdołał przed nawałą azyatycką utrzymać twierdzę — uległ ostatecznej konieczności, że straciwszy tak ważny posterunek — potrafi ocalić honor swój i powierzonej mu armii. Do nadziei tych uprawniały poniekąd wieści, dostające się z po za murów oblęganej twierdzy na świat. A wieści te były senzacyjne i tendencyjnie przystrajające skronie Stoessla w jakąś aureolę bohatersko-męczeńską. Mówiono o komendancie Portu Artura jako o człowieku żelaznej wytrwałości, nieustraszonej odwagi, i prawdziwie ojcowskiej miłości dla swych żołnierzy. Aureola ta wkrótce miała zblednąć. Stoessel dał słowo honoru wrogowi, że w obronie interesów ojczyzny nie podniesie więcej oręża, choć jego koledzy i podkomendni oficerowie — przenieśli jednak oddanie się w niewolę japońską, niż złożenie bądź co bądź uwłaczającego czci żołnierskiej zobowiązania. Pokazało się niebawem, że mógł był Stoessel — jeżeli nie obronić, to w każdym razie znacznie dłużej utrzymać w swem ręku twierdzę. Pokazało się, że wiele rzeczy z strategii zaniedbał, których przezorny wódz zaniedbać nie powinien. I rzekoma miłość jego do armii była co najmniej przesadzoną. W postępowaniu z żołnierzami był surowym i nieprzystępnym, karał najdrobniejsze wykroczenia z nadmierną surowością, a o zaspokojenie potrzeb swej armii także nie troszczył się wiele. Te i inne okoliczności ostudziły znacznie entuzyazm dla wracającego „bohatera“, a natomiast zwróciły krytyczniejszą uwagę najwyższych kół wojskowych, w Petersburgu i prasy rosyjskiej. Car, który zrazu zamierzał zgotować zwyciężonemu wodzowi wspaniałe przyjęcie – odwołał potem wydane rozporządzenia i Stoessel po cichu, w całem poczuciu swojego upadku i odpowiedzialności rozpoczął powrotną drogę do Europy. Obecnie bawi już Stoessel w Petersburgu, nie jest też wcale wykluczonem, że postawionym może być przed sąd wojenny, wobec poszlak przemawiających o nieudolności i lekkomyślności dowódzcy twierdzy port-arturskiej.

O wiele korzystniej wychodzi na tle oblężenia Portu Artura — postać pani Stoeslowej. Była to istotnie kobieta odważna i pełna poświęcenia. Z zaparciem się siebie pielęgnowała chorych i rannych żołnierzy w szpitalach, opiekowała się sierotami po poległych oficerach i sama z własnych funduszów wspierała w ostatnich najkrytyczniejszych dniach oblężenia — uciemiężoną srodze cywilną ludność Portu Artura.

Rycina nasza przedstawia powrót rodziny Stoessla do Europy. Scena wyobraża panią Stoesslową na pokładzie okrętu w otoczeniu sierot po poległych oficerach — oraz resztki przybocznego sztabu komendanta Portu Artura. Niewesoły to powrót, tak jak i smutną cała krwawa, a w rezultacie bezcelowa dla Rosyi — wojna na Dalekim Wschodzie.

Nadużycia urzędników francuskich w koloniach afrykańskich.

Kolonie, o które wszystkie państwa tak się starają i prowadzą z sobą zacięte wojny, są zwykle najlepszym środkiem wyzysku, uprawianego na dzikich, łatwowiernych i bezbronnych krajowcach.



Nadużycia urzędników francuskich w koloniach afrykańskich: M. Toqué, aresztowany we Francyi za nadużycia popełniane w Kongo.

Niesumienni urzędnicy państwowi, będący zdala poza wszelką kontrolą, dopuszczają się wstrętnych zbrodni na ciemnych mieszkańcach, którzy napół dziko żyją jeszcze dotychczas i nie umieją się nietylko bronić, ale nawet nie umieją się na krzywdzącego ich urzędnika poskarżyć.

Oto obecnie głośną we Francyi jest afera dwu urzędników francuskich z państwa Kongo w południowej Afryce: Toqué'go i Gaud'a, którzy zostali aresztoweni z powodu nadużyć, jakich dopuszczali się w koloniach afrykańskich. I tak np. wysadzili w powietrze nabojem dynamitowym włożonym w usta biednego murzyna, którego pochwycili na jakiemś drobnem przestępstwie.

Innym razem kazali stracić drugiego krajowca,



Powrót Stoessla z Dalekiego Wschodu: Pani Stoesslowa w otoczeniu sierót po poległych w obecnej wojnie i grupa oficerów z dawnego sztabu obrońcy portarturskiej twierdzy.

głowę jego ugotować — a rosół podali rodzinie i przyjaciołom straconego. Te i tym podobne ohydne zbrodnie urzędników państwowych, skłoniły rząd francuski do rozciągnięcia ściślejszej i surowszej kontroli nad administracyą w koloniach.

Rząd francuski polecił misyę zbadania obecnych stosunków w koloniach afrykańskich panu Suvorgnan de Brazza, honorowemu zarządcy kolonij, który położył liczne zasługi około administracyi kolonialnej. Ma on przeprowadzić teraz ankietę w sprawie położenia kolonii Kongo i panujących tam stosunków. Jest to mąż pełen zasługi i dla swej pracy nad koloniami francuskiemi w Afryce, otrzymał przydomek: de Brazza.

Rząd francuski spodziewa się, że p. Suvorgnan zdoła przeprowadzić powierzone mu zadanie jak najzupełniej i najdokładniej — że zbada przyczyny tych ohydnych nadużyć urzędników państwowych w koloniach i że przeprowadzona ankieta zdoła zapobiedz na przyszłość podobnym wypadkom.

Oświetlanie zegarów we Lwowie.

Nareszcie pożądania Lwowian spełniły się: Lwów otrzymał kilka nowych, dużych miejskich zegarów. Przed kilku dniami ujrzał światło dzienne i nocne zegar elektryczny, umieszczony na głównym przystanku kolei elektrycznej przy Wałach Hetmańskich. Zegar ten ma o tyle jeszcze znaczenie, iż



Losy kapitana Szeptyckiego: Hr. Stanisław Szeptycki, kapitan austr. sztabu generalnego, attache wojskowy przy armii mandżurskiej. (Treść na str. 7.)

jest starannie regulowany i co ważniejsza, widoczny i w nocy. Regulowany prądem elektrycznym z dworca kolei elektrycznej i również przy pomocy tej samej siły – elektryczności, bywa nocą oświetlany.

Nie jest to zegar duży, ale, w każdym razie, istnienie jego w tej okolicy, będzie miało znaczenie dla mieszkańców.

Większe znaczenie ma bezsprzecznie odnowiewienie zegara miejskiego na ratuszu.

Ma ono się zacząć w niedługim czasie, wraz z projektowaną rekonstrukcyą całego ratusza. Za przykładem dyrekcyi tramwaju elektrycznego i Rada miejska ma zamiar oświetlić swój zegar elektrycznością.

Będzie to duży koszt, dochodzący do 12.000 koron — ale konieczny. Można więc mieć nadzieję, że wkrótce już na miejsce 55-letniego staruszka, zawiśnie na wieży miejskiej nowy zegar i nowym głosem będzie nam wybijał godziny.

Pożar w gmachu rządu krajowego w Czerniowcach.

W niedzielę, dnia 12 b. m. o godzinie 3 nad ranem wybuchł z niewyjaśnionej dotychczas przyczyny ogień w gmachu rządu krajowego.

Ogień, który powstał na strychu, prawdopodobnie z powodu zatlenia się tramu, wśród stosu aktów i starych mebli, oraz innych rupieci, szerzył się tak szybko, iż w przeciągu kwadransa cały dach wielkiego budynku stał w płomieniach.

Straż ogniowa miejska pracowała z iście lwią odwagą i poświęceniem, ażeby zlokalizować ogień.



Fot. T. Bahrynowicz. Czerniowce.

Pożar w gmachu rządu krajowego w Czerniowcach: Gmach rządowy na drugi dzień po pożarze, ze spalonem wiązaniem dachowem.

W akcyi ratunkowej wzięły także udział oddział żandarmeryi oraz pogotowie wojskowe, wzmocnione kilku oddziałami żołnierzy 41 pp. Spokojne powietrze powstrzymało katastrofę od przybrania większych rozmiarów, która i tak była przerażająca. Blask ognia oświecał całą górną połowę miasta, a płonący gmach widać było aż do siół okolicznych.

Spaliło się doszczętnie całe wiązanie dachowę, w kilku miejscach zawaliły się sufity drugiego piętra. Runął także szklanny dach nad westybulem, wskutek czego doznało znacznych uszkodzeń mieszkanie prezydenta kraju, znajdujące się na pierwszem piętrze.

Prezydent kraju, p. Bleyleben, który na krótki czas przed wybuchem pożaru powrócił z zabawy i ułożył się do snu, zbudzony alarmem, szybko kazał przenieść swe dzieci do hotelu Centralnego, a sam osobiście kierował ratowaniem ważnych aktów i dokumentów.

Szkoda nieubezpieczona wynosi około 110.000 koron. Pokoje mieszkalne prezydenta są mocno uszkodzone, a niektóre biura na drugiem piętrze (departament budowniczy) są nie do użycia. Na pomieszczenie biur tych wynajęto już odpowiednie ubikacye.

Odbudowanie zniszczonej części budynku i dachu wkrótce się rozpocznie.



Fot. „Iskra". Lwów.

Oświetlenie zegarów we Lwowie: Nowy zegar na budce tramwayowej, regulowany i oświetlany prądem elektrycznym.



(Co ja mogę? — Przedstawienie się. — Zwiastuny wiosny. — Na plantacyach. — Na linii A-B. — Czarne myśli panny Mani — Apatyczny ojciec. — Nieco o kredycie. — Sympatyczny ludek Szyloków).

Redakcya „Nowości illustrowanych" powierzyła mi dział pod tyt.: „Ze świata". Pyszny dział! Siedzę sobie przy biurku, paląc „trabuko" (czasem „crovoderos"), piję czarną kawę (jeżeli żona ma dobry humor) i nie posiadając ani balonu, ani jachtu, ani własnego pociągu kolejowego lub samochodu, ba — nie mając nawet roweru, kupionego na raty, mogę jeździć po całym świecie bez paszportu, bez monety, a co najważniejsze, bez pozwolenia mej żony. Mogę poprosić marszałka Ojamę o przepis na zwycięstwa; mogę zapytać Kuropatki na, jak się to urządza strategiczny odwrót (po krakowsku: noga Matus); mogę w mgnieniu oka powrócić do Hawełki na „bombę" pilzneńskiego i kanapkę, a potem równie szybko pomknąć do Waszyngtonu, ażeby popatrzeć, co robi „Teddy", lub urocza jego córka Alicya. Mogę zajrzeć do Berlina, gdzie podobno pierwsze niemowlę, które rozpocznie trzeci milion ludności, otrzyma honorową „pikelhaubę", jeżeli będzie płci męskiej, a pięć marek posagu, jeżeli będzie płci żeńskiej. Mogę wpaść do Petersburga i popatrzeć, jak o północy walczy Trepow z marami pomordowanych robotników, albo jak w szampanie „elita" topi swoje troski. Mogę w Paryżu pogadać z Loubetem, albo posiedzieć w „cabarecie", a potem nagle zjawić się na Monte Pincio, albo na grobie Agamemnona. Mam w każdej chwili wstęp do Menelika lub Wilhelma II, do Sary Bernhardt lub panny Kaweckiej z motylem za 30.000 rubl. Mogę w Hiszpanii dzwonić na mandolinie, pod balkonem uroczej Izabeli, a zaraz potem pomknąć do Krakowa i runąć do stóp panny Stasi. I choćbym sobie przy tej sposobności miał pozbijać kolana, to wolę na „kocich łbach" krakowskiego bruku czołem bić przed panną Stasią, niż w pomarańczowym, lub laurowym gaju kwilić z Beatryczą, Elwirą itd. Jak Boga kocham!

— Ale czego ty chcesz, kronikarzu świata? — zapyta czytelnik.

Jestem roztargniony. Zapomniałem przedstawić się i powiedzieć, że to pierwszy mój występ w „Nowościach". Więc muszę koniecznie pochwalić mój towar, ponieważ bez reklamy nikt się dziś nie obejdzie. Chcecie wiedzieć jak się nazywam? Iluż to ludzi nie wie, jak się nazywa właściciel handlu Hawełki, a przecież każdy tam dąży, ażeby pokrzepić wątłe ciało, a nawet i ducha. Czytajcie mój dział „Ze świata", o autora zaś nie pytajcie. Wystarczy, jeżeli będziecie zadowoleni. Zgoda?

A teraz do rzeczy, co wcale nie wyklucza, że mogę pisać nie do rzeczy. Otóż mam żal do losu, że debiut mój w „Nowościach" przypadł na wielki post Kaznodzieje wzywają do pokuty, wierzyciele wołają o „wyrównanie" rachunków karnawałowych, żony pod pretekstem postu karmią mężów śledziami, bryndzą, sardynkami i... ziemniakami pieczonymi — ludziska żżymają się na świat cały, a ja mam was częstować humorystyką?

Trudne zaiste zadanie. A na dobitek wiosna się zbliża. Dla posłów, dla właścicieli magazynów konfekcyjnych, dla modniarek żniwo — dla mężów i ojców rozpacz.

Kalendarz już dosyć dawno zapowiedział wiosnę, a teraz coraz częściej pojawiają się jej zwiastuny... Kawałek błękitu, rozpiętego nad wieżycami Wawelu i kościoła Maryackiego; kilka chmurek białych, płynących wolno w dal nieskończoną; słońce, wypełniające światłem ulice i place — oto dekoracya dwóch dni świątecznych, dekoracya — którą p. Spitziar machnąłby w przeciągu kilku dni. Jeszcze wprawdzie marzec może nam przynieść niejedną przykrą niespodziankę, jeszcze kwiecień kaprysić może będzie jak „plecień", ale koniec końców zwiastuny wiosny nadchodzą.

Na plantacyach pojawiły się już gromady emerytów. Staruszek jakiś idzie wolno aleją i rozgląda się na prawo i lewo, jakby lustrował swoje gospodarstwo. Stanął przed wiekowem drzewem, opukał je laską, wzrok podniósł na konary, zerwał z kory płat zrudziałego mchu i dalej kroczy ku różom, owiniętym w słomę. Nagle staje i woła:

— Sługa radcy! Mamy wiosnę, ha?

— Pułkownik zakomenderował i mamy wiosnę — odparł radca.

— Jam już emeryt — mówi pułkownik, strzepując z palców resztki mchu. — Nikomu nie rozkazuję i nikogo nie słucham. Juźci, jak śmierć zawoła do apelu, to się stawię...

— A wy tutaj co prawicie o śmierci? — zawołał za ich plecami stary kanonik, który na dewocyi osiadł w Krakowie po trzydziestoletniem tępieniu grzechów na wsi. — Radca mówić może o jurysprudencyi, pułkownik o strategii...

— A ksiądz kanonik o śmierci — dokończył radca.

— O śmierci, ja? — powtórzył kanonik. — Ani ja, ani wy, ale tylko Ten — dodał, wskazując na niebo.

— Gwałtu! Pewnie już radzicie o urządzeniu majówki — krzyczał z daleka mały staruszek, były profesor. — Nic z tego, majówka to moja rzecz. Wiosna wam głowy zawróciła.

Profesor powiedział prawdę: wiosna zawróciła im głowy.

Rozmarzeni staruszkowie szli dalej, popychając się, rozprawiając głośno, przerywając sobie zaledwie rozpoczęte zdania, a wtórowały im wróble, ćwierkając po krzakach na umor. Nie wiem, co one sobie tam ćwierkały, ale to wiem jedynie, że je nazywał Rej „wszetecznemi". Pod murami klasztoru na Gródku dzieci w południe już biegają, a nawet tarzają się po ziemi. Na przestrzeni kilkudziesięciu metrów kwadratowych urządziły sobie wolną republikę, nie troszcząc się o to, że policya rezyduje tuż pod ich bokiem.

Panie młodsze i starsze mniej podziwiają błękit nieba, jak również mniej troszczą się o drzewa i róże na plantacyach, a za to więcej rozmyślają nad strojami wiosennemi. Nie załatwiły jeszcze rachunków karnawałowych, a już muszą robić wydatki z powodu wiosny. Na linii A-B i na plantacyach widzimy tylko te panie, które już posiadają wiosenne zarzutki (haweloki z kapturkami. Czy tak?), reszta biega od sklepu do sklepu, ażeby się czemprędzej zaopatrzyć w tę część garderoby. Ku chwale, czy też może naganie rodu niewieściego, muszę stwierdzić, że istnieją także takie emancypantki swojego rodzaju, które sobie nic nie robią z opinii publicznej i spacerują w najlepsze po linii A-B w zimowych żakietach. I to w samo południe — a jakże!

Są także i takie, które strejkują. O, są.

— Nie pójdę na spacer — mówi panna Mania do swojej mamy, która ją namawia do przechadzki.

Oczywiście mama z córką są w zmowie.

— Dlaczego? — zapytuje mama.

— Nie mam wiosennej zarzutki — odpowiada płaczliwie panna Mania. — Przecież nie mogę się narażać na szyderstwa i wstyd.

Ojciec siedzi na kanapie i wypłowiałemi oczami spogląda apatycznie na córkę.

— A jeżeli nie prędko dostaniesz zarzutkę? — zapytuje mama.

— Będę siedzieć w domu.

— To się rozchorujesz.

— Wiem o tem, ale przygotowana jestem na wszystko: na chorobę, nawet na śmierć! Co mi po takiem życiu — woła panna Mania, wygniatając palcami łzy z oczu.

Ojciec siedzi na kanapie i nie chce ani rusz pojąć, że przyzwoita panna woli umrzeć, niż pokazać się teraz na ulicy w zimowej zarzutce. Zapala cygaro i milczy. Rozmyśla biedak nad kredytem, ażeby pannę Manię uchronić od śmierci — a siebie od piekiełka familijnego.

Och! ten kredyt! Powiadają, że Rosya wypuszcza wewnętrzną pożyczkę po 90 za 100. Gdyby w Krakowie ludzie potrzebujący kredytu mogli „wypuszczać" obligi po 90 za 100, to jest, gdyby askultant mógł dostać 90 złr. na rewers na 100 złr! Boże, tożby dopiero „Europa była w ruchu!" Niestety, w Krakowie „odręczny" kredyt już nie istnieje prawie. „Tempi passati". Kelner czasami jeszcze „wygodzi" kilku koronami — ale Szyloków już nie ma. A to był taki sympatyczny naród! Nie wspominał o nich nigdy kalendarz Czecha, ale za to w sercach wielu Krakowian wspomnienie o nich na wieki się wyryło.

Ke.



Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Obecnie wychodzą na światło dzienne coraz to nowe szczegóły strasznych walk, stoczonych pod Mukdenem. Raporty, aczkolwiek są zbyt pobieżne i przypadkowe, stwierdzają, że w niektórych pułkach straty są tak znaczne, że pułki te można uważać za zupełnie zniesione. Niektóre oddziały stały pod tak strasznym i piekielnym ogniem nieprzyjacielskim, że ani jeden człowiek nie uszedł cało. Bo na pewnych pozycyach walka była zażartą i tak z jednej, jak i z drugiej strony walczono do upadłego. Na niektórych placówkach poszczególne oddziały dokonywały cudów męstwa i waleczności. Na forpocztach przed Mukdenem w nocy z dnia 9 na 10 marca oddział rosyjski, osłaniając odwrót innych oddziałów, został wycięty w pień, a jego dowódzca, choć był Polakiem, wolał paść na placówce — byle tylko osłonić odwrót swych współziomków, niż cofając się, narazić oddziały będące w odwrocie na klęskę. Był to czyn bohaterski i choć mu życie własne przyszło stracić, nie wahał się ani przez chwilę, gdyż nie chodziło tu już o honor Rosyi, o zwycięstwo wojsk carskich nad Japończykami, ale chodziło o uratowanie życia tysiącom ludzi, których odwrót należało osłonić i powstrzymać ścigające kolumny japońskie. Wprawdzie było inne wyjście i to z pewnością dogodniejsze dla każdego żołnierza, któremu życie było drogie: ucieczka do Japończyków — ale w każdym razie akt takiego bohaterstwa, jaki wyżej opisaliśmy, musi budzić bezwarunkowo podziw! Było to bohaterskie poświęcenie się w obronie życia innych!

Nie brakło też w tej bitwie, jak w każdej innej, dowodów barbarzyństwa, dezorganizacyi i niedołęstwa ze strony rosyjskiej. Dnia 5 marca rozpoczęli Rosyanie odwrót z Mukdenu. Dnia 8 marca opuścił Mukden sztab generalny i Kuropatkin — a następnego dnia wszystkie władze wojskowe. Od pierwszego dnia odwrotu co godzinę odjeżdżał pociąg o 60 wagonach, uwożąc z sobą zapasy żywności, rannych, amunicyę i tak aż do 9 marca odbywało się to we względnym porządku. Czas jednak był za krótki, by módz wywieźć z Mukdenu, gdzie były nagromadzone liczne zapasy, wszystko. To też połowa olbrzymich zasobów i składów w Mukdenie musiała pozostać i stać się łupem Japończyków. Dnia 10 marca Mukden był już opróżniony z wojsk rosyjskich, a pozostali tylko kozacy, którzy, stawszy się panami miasta, rozpoczęli na swój sposób dzieło zniszczenia.

Zupełnie pijani dopuszczali się ekscesów wszelkiego gatunku: mordowali mieszkańców chińskich, napadali na poddanych włoskich i greckich, na kupców — a kto odważył się bronić, ginął straszną śmiercią z rąk rozbestwionych i pijanych kozaków. Rabowali sklepy, magazyny, wpadali do domów prywatnych i kradli na wszystkie strony, a czego unieść nie mogli — podpalali i puszczali z dymem.

By zrehabilitować niedołężną administracyę — podpalali wszystkie magazyny i niszczyli całe miasto, które za parę godzin miało się dostać w ręce Japończyków. Pijani żołnierze setkami leżeli w rynsztokach, a inni tymczasem rabowali i kradli w dalszym ciągu. Gdy o godzinie 4 po południu weszli Japończycy do miasta, mieszkańcy z radością niekłamaną ich witali, wiedząc, że tylko oni mogą przywrócić jaki taki spokój i zagwarantować bezpieczeństwo osobiste.

W samem mieście wzięli Japończycy 4.000 Rosyan do niewoli. Z kupcami obchodzili się dobrze, a każdemu, kto chciał miasto opuścić, wydawali przepustki, upoważniające do udania się na teren neutralny. Zachowanie się Japończyków w mieście zdobytem było wzorowe i mimo silnej pokusy nie zaszedł w mieście ani jeden wypadek rabunku lub kradzieży. Tutaj też odczytano żołnierzom japońskim podziękowanie od mikada za ich ofiarną służbę i waleczność.

Tymczasem armia rosyjska zmykała ku Tienlinowi w największym popłochu, pozostawiwszy po szpitalach tysiące rannych, a między nimi generała Kellersberga, któremu kula urwała obie nogi.

Odwrót był nadzwyczaj uciążliwy. Wojsko, straciwszy zupełnie głowę, uciekało w popłochu, myśląc, że jest ze wszystkich stron osaczone.

Poszczególne korpusy straciły zupełnie kontakt z całością armii i do tego czasu nie wiadomo, gdzie się znajdują. I tak, rozbity przez armię generała Kurokiego korpus Rennenkampfa, zniknął prawie zupełnie i zdaje się, że został odcięty przez Japończyków od armii głównej.

Korpus generała Rennenkampfa znajdował się na lewym flanku armii rosyjskiej i w czasie ogólnego odwrotu musiał zostać odciętym od drogi prowadzącej do Fuszun — i zmuszonym szukać ucieczki i schronienia w górach na wschód od Fuszunu, gdzie jego armia może uledz zupełnemu wyniszczeniu, wskutek braków jakichkolwiek środków żywności.

To też zdaje się, że korpus generała Rennenkampfa znajdował się i znajduje dziś jeszcze w najcięższych warunkach.

Armia jest wyniszczona i zdemoralizowana klęskami poniesionemi pod Mukdenem, pozbawiona dowozu żywności, wpędzona w góry, gdzie wogóle prowiantowanie jest zgoła niemożliwe, odcięta od centrum armii, musi walczyć z warunkami przyrody, a także i z tymi oddziałami japońskimi, które ją ścigają. Rycina nasza przedstawia odwrót korpusu Rennenkampfa z nad rzeki Hun.



Z wojny ros.-jap.: Straże rosyjskie przyprowadzają przed sąd wojenny japońskich żołnierzy, przebranych za chińczyków, a przyłapanych jako szpiegów.



Z wojny ros.-jap.: Generał Kuropatkin, były naczelny wódz całej armii mandżurskiej, obecnie dowódzca I. armii rosyjskiej na polu walki.

Wyciągniętym żórawim sznurem maszerują oddziały jakąś wąską polną drogą. W szeregach idą ranni, podtrzymywani przez swych towarzyszów broni, a w twarzach wszystkich można wyczytać przygnębienie, gorycz, a nawet tajemny bunt, który się musi budzić choćby odruchowo w duszy człowieka, wiedzącego, że może dziś a może jutro spotka i jego taki sam los, jak tego, który padł i leży na boku drogi martwy już i skostniały.

Wzdłuż szeregów jadą dwójki kozackie, gotowe zawsze na skinienie naczelnego wodza poskromić opornych i niezadowolonych, a nahajami popędzić dla rozgrzewki do szybszego marszu. Z boku jedzie sam wódz naczelny w czapie baraniej i zaszyty w szubę, przegląda szeregi tych rozbitków z pod Mukdenu.

By zrozumieć cały plan oskrzydlającej akcyi japońskiej pod Mukdenem — musimy dodać jeszcze parę słów. Główna zasługa powodzenia Japończyków przypada generałowi Oku. Walczył on na przestrzeni przeszło 30 mil angielskich i musiał osłaniać każdą piędź ziemi i walczyć z silnym korpusem generała Kaulbarsa.

Na północ, nie zatracając łączności z generałem Oku, walczył generał Noghi z armią weteranów z pod Portu Artura, mając za zadanie zniszczenie toru kolejowego na północ od Mukdenu i zajście na tyły Rosyan.

Ta armia zasłaniała przestrzeń, wynoszącą około 35 mil angielskich.

Całe powodzenie ataku na Mukden zależało od tego, czy lewe skrzydło japońskie, złożone z armij generała Oku i Noghi, zdoła się utrzymać na swych pozycyach i spełnić swoje nader trudne zadanie. Obie te armie były w najstraszniejszym ogniu. Generał Oku miał przed sobą armię Kaulbarsa, który z potężną siłą szturmował i atakował zacię-



Z wojny ros.-jap.: Chińczycy ładują mąkę z magazynów rosyjskich w Tienlinie na wozy, by nie zostawić zapasów na łup zbliżających się ku miastu Japończyków.



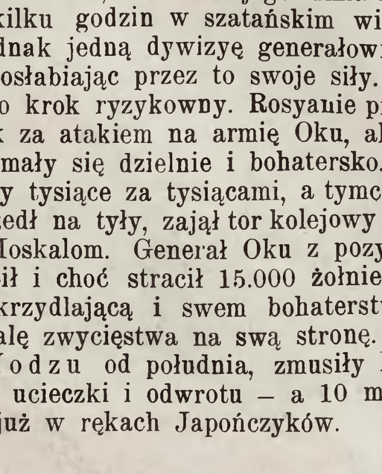
Z wojny ros.-jap.: Żołnierze rosyjscy obozujący przy torze kolejowym i strzegący go przed Japończykami.

cie jego pozycye. Generał Noghi musiał odpierać ataki cofających się z południa wojsk rosyjskich, a równocześnie czynić wszelkie wysiłki, by się utrzymać przy torze kolejowym na północ od Mukdenu. W nocy z dnia 8 na 9 marca nadeszła nadzwyczaj krytyczna i niebezpieczna chwila, gdy generał Noghi zażądał posiłków od generała Oku. Na generała Noghi parły idące z południa coraz nowe kolumny rosyjskie i była chwila nadzwyczaj groźna, gdyż mogły te korpusy przebić się przez linię bojową generała Noghi i osaczyć ją z południa.

Generał Oku, choć cała jego armia znajdowała się od kilku godzin w szatańskim wirze walki, posłał jednak jedną dywizyę generałowi Noghi ku północy, osłabiając przez to swoje siły.

Był to krok ryzykowny. Rosyanie przygotowywali atak za atakiem na armię Oku, ale oddziały jego trzymały się dzielnie i bohatersko.

Padały tysiące za tysiącami, a tymczasem Noghi zaszedł na tyły, zajął tor kolejowy i zagrodził odwrót Moskalom. Generał Oku z pozycyj swych nie ustąpił i choć stracił 15.000 żołnierza, ocalił akcyę oskrzydlającą i swem bohaterstwem przeważył szalę zwycięstwa na swą stronę. Ataki generała Nodzu od południa, zmusiły Rosyan do bezładnej ucieczki i odwrotu — a 10 marca Mukden był już w rękach Japończyków.



Z wojny ros.-jap.: Generał Oku, główny bohater walk ostatnich pod Mukdenem.

Tak przedstawiał się plan tych walk pod Mukdenem na lewem skrzydle japońskiem, które okryło się chwałą bohaterską i zdobyło zwycięskie wawrzyny, powodując klęskę Rosyan na całej linii.

Najbliższym punktem oparcia dla rozbitej armii był Tielin. Wskutek braku miejsca wielu rannych, nie mogąc się dostać dostać do szpitali, kładło się między torami na stacyi przez całą noc, a charczenie umierających mieszało się ze skargami ranionych. Na całej długości nasypu leżeli żołnierze pokrwawieni obok innych umierających i obok trupów.

Wszyscy leżeli na mrozie bez nakryć, nie mieli nawet worka, o któryby mogli oprzeć swą głowę. I tak czekali zlitowania, ale nie znaleźli go ze strony swoich. Cała ta masa rannych i chorych, dostała się do niewoli japońskiej i japońskie nieprzyjacielskie lazarety zajęły się dopiero tymi nieszczęśliwymi.

Odwrót Rosyan nie oparł się o Tielin, gdyż nie pozwolili na to Japończycy, którzy postanowili wyzyskać wszystkie następstwa swego zwycięstwa.

A więc trwają w pościgu niezmęczenie i nie chcą dopuścić do koncentracyi rozbitej armii. Tielin, jak już doniosły telegramy, został zajęty przez Japończyków, a i tu, podobnie jak w Mukdenie, wpadły w ręce japońskie znaczne zasoby zboża, mąki i innych zapasów. Tielin opuścili Rosyanie bez oporu, co niemało zdziwiło Japończyków, gdyż Tielin był uważanym za jedną z silniejszych pozycyj rosyjskich i spodziewano się powszechnie, że pod Tielinem walki wybuchną na nowo, nie mniej krwawe, jak około Mukdenu. Z Tielina zdołali Rosyanie zabrać zaledwie część zapasów i to mniejszą jeszcze niż z Mukdenu, gdyż pociągi musiały przedewszystkiem przewozić rannych ze szpitali.

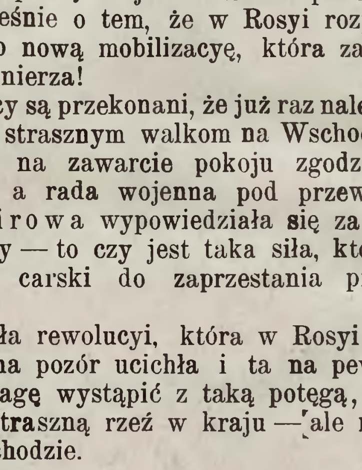
Rycina nasza przedstawia ładowanie worków z mąką na wozy w chwili, gdy Japończycy zbliżali się już ku miastu. Śmiemy przypuszczać, że po stracie Mukdenu i Tielinu, gdzie nagromadzone były tak liczne zapasy żywności, armia rosyjska będzie wystawioną na prawdziwą klęskę głodową, gdyż jednotorowa kolej syberyjska, zajęta transportami coraz to świeżych korpusów, transportami tysięcy rannych, nie jest w stanie dostarczać na czas potrzebnej ilości środków żywności z Europy, a wobec odcięcia Rosyanom drogi do Mongolii — Chiny nie mogą już prowiantować armii rosyjskiej.

* * *

Czy możliwe jest po tylu stratach przerażających wszystkich, po tylu okropnych klęskach, po takiej rzezi, jakiej widokiem były pola mandżurskie — dalsze prowadzenie wojny? Dzienniki zagraniczne, zwłaszcza angielskie, podawały wiadomości o rozpoczęciu już rokowań pokojowych — a równocześnie o tem, że w Rosyi rozpoczęto już i nakazano nową mobilizacyę, która zabierze 400 tysięcy żołnierza!

Wszyscy są przekonani, że już raz należy kres położyć tym strasznym walkom na Wschodzie. O ileby Rosya na zawarcie pokoju zgodzić się nie chciała — a rada wojenna pod przewodnictwem Dragomirowa wypowiedziała się za prowadzeniem wojny — to czy jest taka siła, któraby zmusiła rząd carski do zaprzestania prowadzenia wojny?

Jest siła rewolucyi, która w Rosyi nie wygasła, choć na pozór ucichła i ta na pewno będzie miała odwagę wystąpić z taką potęgą, że gotowa wywołać straszną rzeź w kraju — ale nie na Dalekim Wschodzie.



Z wojny ros.-jap.: Generał Kuroki, zwycięzca Liniewicza pod Gutulin.

Zamierzona mobilizacya musi zostać przeprowadzoną, o ile rząd chciałby prowadzić w dalszym ciągu wojnę, gdyż rozbitki z pod Mukdenu nie są już zdolne stawić czoła siłom Japonii.

A przy ogłoszeniu tej nowej mobilizacyi, ludzie, którzy wiedzą, że po takich bezprzykładnych rzeziach w Mandżuryi i oni pójdą na pewną rzeź — i może ani czwarta część ich nie wróci do domu cało — będą się bronić przed zabraniem ich na wojnę, będą się bronić rozpaczliwie, wiedząc, że walczą o swe życie i carat stanie się widownią tak krwawych starć — jakich dotychczas nie było!



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Generał Nodzu zwycięzca z pod Mukdenu.

Jeśli ogłoszenie nowej mobilizacyi należałoby uważać jako demonstracyę przeciw Japonii, z którą chce się rozpocząć rokowania pokojowe i na której ma się gotowością nowych zbrojeń wywrzeć efekt, mający ją nakłonić do względniejszych warunków pokojowych — to należy sobie uprzytomnić, że zarządzenie mobilizacyi byłoby w takim wypadku czynem bardzo ryzykownym i obosiecznym i — mogącym wywołać nie mniej groźne zaburzenia w samej Rosyi.

Dość niebezpieczną podczas ostatnich walk rolę odegrali Chunchuzi. Na tyłach armii pojawiały się coraz to nowe bandy Chunchuzów, zorganizowane i uzbrojone stosunkowo dość porządnie, a prowadzone przez oficerów japońskich. Napadali oni na mniejsze oddziały rosyjskie, urządzali napady na tor kolejowy, burzyli mosty i szerzyli zniszczenie w około, uniemożliwiając Moskalom odwrót. Bandy Chunchuzów wzrastały i powiększały się z dnia na dzień.

Było to zupełnie zrozumiałe, że ludność chińska straciwszy cały swój dobytek, całe swe mienie, porzucała zniszczone i spalone domostwa i szła do Chunchuzów, by następnie mścić się na tych, którzy byli sprawcami ich klęski.

Moskale wytworzyli sobie wśród Chińczyków swych największych wrogów i tem należy sobie tłómaczyć to, że Japończycy wiedzą najdokładniej prawie o każdym ruchu wojsk rosyjskich, znają jak najdokładniej plan sytuacyjny armii rosyjskiej, gdyż mają wśród Chińczyków swych szpiegów tak, że śmiało można uważać każdego chińczyka za szpiega japońskiego. Stądto do służby wywiadowczej nadają się wybornie sami Japończycy. Przyprawiają sobie warkocze i przebierają się w strój chiński i z największą swobodą udają się między armię rosyjską, którą znają wybornie ze wszystkimi jej dowódzcami i generałami.

Czasami jakaś nieszczęśliwa paczka takich szpiegów wpadnie w ręce rosyjskie, a wtedy czeka wszystkich śmierć pewna. Jedna z naszych rycin przedstawia właśnie scenę, jak straż przyprowadza przed sąd wojenny japońskich żołnierzy, przebranych za Chińczyków i przyłapanych na szpiegostwie.

Jeden ze straży trzyma w ręku warkocz jako corpus delicti a starsi oficerowie spisują protokół. Przyznać należy, że Japończycy pod każdym względem imponują nam swą brawurą i odwagą, bo idąc do obozu rosyjskiego jako szpiegowie, idą tam na pewną śmierć.



Z wojny ros.-jap.: Plan sytuacyjny ostatnich ruchów wojsk rosyjskich i japońskich na północ od Mukdenu.



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Odwrót korpusu generała Rennenkampfa z nad rzeki Hun.

KRONIKA LWOWSKA.

(Treść: Hotel George'a idzie na bęben. — Sprawa z kupcami. — Trochę światła. — Kto winien?... — Koncerty a recenzenci. — Za wiele wykładów i odczytów. — Brak porozumienia. — „Domek z ogródkiem“. — Projekt pani Bednarzewskiej. — Koncert pani Gembarzewskiej. — Varia).

Tydzień ubiegły rozpoczął się od wielkiej awantury, jaką zgotowała wszystkim kupcom, mającym swe sklepy w hotelu George'a niejaka pani Marya Markowska, któ.a wezwała wszystkich ich do siebie i oznajmiła, że z dniem dzisiejszym kupiła gmach hotelowy i jako nowonabywczyni żąda od nich, by złożyli czynsz za pięć lat z góry, gdyż w razie przeciwnym mają z dniem 1 kwietnia opróżnić lokale sklepowe. Można sobie wyobrazić, jaką minę zrobili kupcy na takie dictum pięknej a zupełnie im nieznanej pani Maryi Markowskiej. Z małymi bowiem wyjątkami wszyscy prawie kupcy walczą ustawicznie z konkurencyą, majątku wielkiego nie posiadają i szczęśliwi są, jeśli mogą zapłacić czynsz półroczny. Cóż dopiero za lat pięć z góry i to do dni trzech, jak to w swojej szlachetnej skromności chciała piękna pani Marya Markowska. Zrobiło się wielkie l a r u m. Nazajutrz wszystkie dzienniki uderzyły w bęben, opisując całą audyencyę kupców u pani Markowskiej i apelując do radcy dworu i dyrektora poczt p. Seferowicza, ażeby, jako kurator Hoffmanów, właścicieli hotelu, zabrał głos w tej sprawie i wyjaśnił, czy wiadomo mu coś o planach pięknej pani. Pan Seferowicz dotąd głosu nie zabrał publicznie, ale zajęła się całą sprawą policya, która sprawdziwszy, że p. Seferowicz o niczem nie wie, zaprosiła do siebie panią Markowską z prośbą o wyjaśnienie. Piękna pani zamiast wyjaśnić, zaciemniła jeszcze bardziej całą sprawę, pokazało się bowiem, że hotelu jeszcze nie kupiła, ale ma zamiar kupić, że na wypadek, gdyby kupiła, otrzyma w tut. Banku hipotecznym grubszą pożyczkę i że żądając od kupców czynszu za pięć lat z góry działała w dobrej wierze, sądząc, że ma do tego prawo. Wobec tego policya prowadzi śledztwo dalej i zdaje się, że pani Markowska jeszcze gdzieindziej będzie musiała odpowiadać za swoje skromne żądanie, jeśli policya odda sprawę do prokuratoryi państwa, a ta dopatrzy się w tym kroku kolizyi z kodeksem karnym. Pominąwszy już bowiem znamiona wymuszenia i wprowadzenia kupców w błąd, że jest już właścicielką hotelu i ma kontrakt kupna w ręku, mogła pani Markowska już samym faktem zagrożenia doprowadzić kupców do ruiny przez podkopanie ich kredytu. Zostawiając jednak rozbiór samego faktu władzom i nie przesądzając jego wyniku dodaję od siebie to, czego nie znalazłem w żadnym dzienniku, a co sprawie nadaje nieco odmienny charakter. Mani Marya Markowska jest w tej sprawie tylko narzędziem męża swego pana Ludwika Markowskiego, eks-sędziego, a obecnie dostawcy siana dla koni wojskowych w Mostach Wielkich. Pan Markowski należy do ludzi, którzy mają głowę na karku i wielki apetyt na dobre interesa. Niby w tem złego nie było, gdyby pan Markowski do celu swego zdążał nie ze szkodą innych, jak to obecnie ma miejsce z kupnem hotelu George'a. Tymczasem p. Markowski powiada sobie, że cel uświęca środki. Miał już w swoim czasie z niczego prawie dobra, wartości dwustu tysięcy reńskich, które dał w posagu córce swej, obecnie mając kilka tysięcy złr. ma „chrapkę“ na hotel, którego wartość dochodzi d w ó c h m i l i o n ó w k o r o n. No powiedzcie, czy to nie dobry apetyt! Ponieważ jednak ma pod cylindrem tęgą głowę, więc do owego kroku z kupcami wysunął swoją żonę. Władze powinny zrozumieć, że panu Markowskiemu są potrzebne jeszcze większe pieniądze i pozwolić mu na ściąganie czynszów za lat dwadzieścia z góry od kupców, a przynajmniej za lat dziesięć z góry od gości hotelowych, mających zamiar w najbliższych dziesięciu latach zajeżdżać do hotelu George'a, choć nie wiem, czy wobec potencyi finansowej pana Markowskiego nawet i te pobory *anticipando* wystarczą na zakupienie tego hotelu. Takie są podstawy, na jakich oparł p. Markowski swój gust i na jakich kazał swojej żonie postawić owym kupcom znaną propozycyę. Na takiej podstawie mógłby każdy dyurnista sądowy zakupić w przeciągu trzech dni wszystkie kamienice przy ulicy Karola Ludwika. Gdyby tak można! Co najwyżej w Mostach wielkich, ale nie we Lwowie.

Rozpisałem się w tej sprawie z powodu, że jest ona zasadniczego znaczenia. Nie pierwszy to wypadek, że ludzie sprytni, bez żadnego majątku, a tylko oparci na kredycie rozpoczynają ogromne przedsiębiorstwa i muszą siłą rzeczy w krótkim czasie bankrutować, zarywając setki niewinnych, a zaślepionych ofiar, a nawet wcale poważne instytucye finansowe. To nasz wielki błąd, a władze i w tym wypadku powinny temu przeszkodzić.

Jeśli hotel George'a musi iść na bęben, to niech go kupi ten, kto ma pieniądze, a nie człowiek, żyjący z emerytury sekretarza sądu.

To już całkiem co innego, jeżeli krajowa Dyrekcya skarbu postanowiła wybudować dla siebie nowy gmach kosztem trzech milionów. Ona ma z czego! Plany już są wykonane, gmach będzie piękny, wspaniały, ozdobą miasta, a weseli podatnicy nie posiadają się z radości. Będzie teraz satysfakcya iść do kasy i płacić podatek. Przynajmniej człowiek będzie wiedział za co płaci i na co płaci. Jest nadzieja, że przy tej sposobności zdemoluje się część prawego skrzydła dyrekcyi i odsłoni się nareszcie wstydliwa część naszego Muzeum przemysłowego.

Ubiegły tydzień obfitował w taką ilość koncertów, że tutejsi recenzenci muzyczni już od tygodnia są niewyspani. Oni rzeczywiście w pocie czoła swego i swych ofiar estradowych spożywają swój chleb powszedni z masłem. Krąży pogłoska, że recenzenci muzyczni suszą sobie głowy nad wynalezieniem sposobu pisania recenzyj muzycznych na cztery ręce, bo jak dotąd, nie mogą jedną parą rąk nadążyć i łączą po kilka koncertów w jednem sprawozdaniu, pisząc o każdym następnym *dto... dto... dto...*

Jeszcze gorzej byłoby, gdyby nasze dzienniki chciały wprowadzić sprawozdania z odczytów i wykładów popularnych. Proszę sobie wyobrazić, ile człowiek musi się nasłuchać, gdyby mu przypadkiem przyszła myśl pójść na połowę ze wszystkich zapowiedzianych afiszami wykładów: Stale odbywające się odczyty i wykłady są: Uniwersytetu powszechnego, Uniwersytetu ludowego, Szkoły ludowej, Towarzystwa zabaw ludu i młodzieży, Szkoły nauk politycznych, Związku naukowo-literackiego, Koła literacko-artystycznego, Gwiazdy, dalej urządzają wykłady wszystkie istniejące czytelnie, stowarzyszenia akademickie (czytelnia akademicka, Związek i t. d.) i nieakademickie jak Gwiazda, Toynbehala itd. itd. bez końca. Jednem słowem: oświata płynie nie już strumieniami, potokami, ale zalewa poprostu i gotowa spowodować powódź, hiperprodukcyę inteligencyi, zwłaszcza, że pojedyncze zarządy wykładów konkurują ze sobą, przelicytowują się, zniżając już cenę wstępu na wykład na 2 halerze! Nie chodzi mi bynajmniej o odmówienie wartości, czy znaczenia wykładom popularnym, ale zdaje mi się, że przez takie masowe urządzanie wykładów bez wzajemnego porozumienia się poszczególnych zarządów sprowadza się stagnacyę, jak to jest u nas i powoduje, że wykłady odbywają się przed pustemi krzesłami. Mając do wyboru 15 wykładów nie idzie się na żaden, a oświata istotnie na tem traci. Wygląda to na kupiecką konkurencyę, która dziełu szerzenia oświaty wśród mas żadną miarą nie przystoi.

Wypada mi jeszcze wspomnieć o propozycyi pani Konstancyi Bednarzewskiej, która po raz pierwszy, jak sama przyznaje, zabrała głos publicznie i w jednym z tutejszych dzienników, bardzo mało poczytnym, ogłosiła krótką odezwę do publiczności i artystów pt. „Domek z ogródkiem“. Proponuje mianowicie pani Konstancya, ażeby mający się odbyć w najbliższą jesień jubileusz pana Ludwika Solskiego uczciła publiczność wraz artystami przez zakupienie ze składkowych pieniędzy „domku z ogródkiem“ dla znakomitego artysty. W domku (z następnych wierszy wynika, że ma to być kamienica), będzie artysta mieszkać, a w ogródku pielęgnować ma żywe kwiaty dla teatru dla sceny... Myśl bardzo piękna i w porę rzucona, szkoda tylko, że nie wydrukowała tego nasza artystka w poczytniejszem piśmie. W każdym jednak razie obawiać się należy, że p. Solski, który nbiega się o teatr krakowski, drapnie ze Lwowa, skoro teatr wasz obejmie, a w domku z ogródkiem zamieszkaćby w takim razie musiała sama projektodawczyni, która może w ten sposób chciała wielkiego artystę do gruntu lwowskiego przytwierdzić. To powinno być jednym powodem więcej, ażeby p. Solski z teatru krakowskiego zrezygnował.

Na dzień 2 kwietnia zapowiada koncert pani Gembarzewska, której sylwetkę wraz z konterfektem zamieściliśmy w jednym z poprzednich numerów. Słychać, że wybiera się na ten koncert cały Lwów muzykalny. Muzykalny Lwów chodzi tak na koncerty, jakby naprawdę był cały muzykalny. W tym wypadku idą nietylko, aby słuchać, ale ażeby widzieć.



Władysław Kwiatkiewicz.

Lwowskie dziecko... Tu się urodził przed mniej więcej trzydziestu laty, tu ukończył studya i tu w roku 1895 wstąpił na scenę za dyrekcyi H. Szydłowskiego i Z. Przybylskiego.

Następnie pracuje stale we Lwowie i za dyrekcyi Hellera, a wreszcie przechodzi w r. 1900 do nowego teatru miejskiego,

Pracował od pierwszej chwili w dziale ról charakterystycznych i charakterystyczno-bohaterskich („Halszka z Ostroga“ – Odachowski). Od początku też przepowiadają mu piękną przyszłość na scenie. (Tak się złożyło, że dziś w obu sylwetkach zmuszony jestem wróżyć... ale to już tak jest.)

Talent wielki, prawdziwy, z podkładem realizmu... Nadto praca seryo i ogromne umiłowanie sztuki i sceny... To wszystko składa się na indywidualność artystyczną bardzo poważną, rokującą istotnie piękne nadzieje.

Rodzaj ról — powiedziałbym — niewdzięczny, a przynajmniej nie wszystkie rewanżują się w tym stopniu artyście, ile go kosztują pracy. Mimo to i dyrekcya z reżyserem i publiczność i recenzenci nie szczędzą szczerego uznania p. Kwiatkiewiczowi, który zrósł się i zżył z lwowską sceną i jest dziś ulubieńcem naszej publiczności... Zasługuje też na to uznanie w zupełności, co jest tem ciekawszem, że role charakterystyczne zastąpione są może najsilniej w naszym zespole. Wybić się, gdy się jest jedynym — nie sztuka, ale, gdy się ma do walczenia z lwami...

Nadto należy do tych artystów, którzy się dadzą wszędzie i zawsze użyć i zawsze są w kropce.

Z ról jego ważniejszych wymieniam: „Potęga ciemnoty“ (urlopnik), „Tamten“ (Korniłow), „Szczęście w zakątku“ (Wiedeman), „Bogaty wujaszek“ (Arnheim), „Na dnie“ (właściciel oberży), „Ijola“ (rycerz Kuno). „Małka Szwarcenkopf“ (Kolumna Wiedeński) „Romeo i Julia“ (stary Kapulet), „Zemsta“ (Dyndalski) „Damy i huzary“ (Rembo) „Posażna Jedynaczka“ (Ratatyński) „Zbójcy“ (ojciec Moor), „Intratna posada“ (Jussów), „Nawojka“ (Dersko), „Montjoye“ (Tiberge), „Dzika różyczka“ (Kociuba), „Dzieciaki“ (Dziadunio) „Dom otwarty“ (Ciuciunkiewicz), „Grube ryby“ (Pagatowicz), „Kościuszko“ (Abracham) „Uriel Akosta“ (Sylva i De Santos), „Doktor Klaus“ (Grissinger), „Opieka wojskowa“ (Krzykalski), „Żydzi“ (Hrabia), „Wiesław“ (Stanisław Kmieć) i wiele innych.

Poza teatrem człowiek nader sympatyczny, uprzejmy, łagodny i co za tem idzie powszechnie lubiany.

Jest reżyserem teatru amatorskiego w tut. Kasynie miejskiem, gdzie zbiera oklaski za bardzo staranną wystawę sztuk. Kto wie, czy nie kształci się tam przyszły reżyser teatru miejskiego...

Poczciwa Marjanka.

— To dopiero matka będzie miała pociechę jak się dowie Matka mawiała zawsze że nigdy służby nie dostanę bom ty za głupia. A teraz w jednym miesiącu miałam już pół tuzina.

Irena Solska.

„Gdy zamknę oczy, jest mi, jakbym je otwarła.
„Przeto ich nie otwieram nigdy gdy tęsknota mo-
[ja chce widzieć“.
L. Staff — „Skarb“.

Ten aforyzm wybrała pani Irena Solska, gdy zaproszono ją do udziału w dodatku teatralnym do „Gazety narodowej.“ Mówi on sam za siebie. Pani Solska jest marzycielką... Należałaby jej się nie sylwetka. ale impresya... Lecz ponieważ tu nie miejsce na impresye więc...

Jest artystką wcale młodą. Scena nie miała jej być zawodem ale potrzebą duchową... Pochodzi z rodziny artystycznej. Jej matka to znana artystka-malarka. Na scenę krakowską wstąpiła pani Irena w roku 1897 za dyrekcyi Pawlikowskiego jako panna „Pomian“ (theatronimicum). W roku 1899 ustąpiła ze sceny, a gdy powróciła w roku 1900 do teatru lwowskiego nazywała się już: pani Irena Solska.

Pod kierunkiem swego męża najlepszego dziś obok Kamińskiego. artysty polskiego, kształciła się pani Irena przez cztery lata i kształci się dalej... Widzą w niej przyszłą Modrzejewską w stylu m o d e r n. Jest też modernistką w każdym celu... Do ról z tego g e n r u obecnie u nas jedyna. Ma role, w których nikt nie spróbuje z nią rywalizować: „Ijola“ (rola ty ułowa), „Na dnie“ (Nastka), „Śnieg“ (Ewa), „Warszawianka“ (Marya), „Markiz Priola“ (Valleroy) itp., Ma inne role, w których poprostu cudów dokazuje, przerzucając się z bajeczną zwinnością w ciągu jednej sztuki w kilka odmiennych zupełnie kreacyj („Eros i Psyche“). W innych rolach, choćby niekoniecznie należały do zakresu jej wielkiego talentu, wykazuje tak niezwykłą inteligencyę sceniczną, tak piękną miarę i tyle subtelnego uczucia, że naprawdę witać w niej



wolno przyszłą Modrzejewską i to już. Tylko, że od bardzo wybitnych indywidualności scenicznych mamy prawo wiele żądać – dlatego zwykłej miary przykładać tu nie można.

A drobne usterki, co prawda łatwo usunąć się dające, znajdzie nadczułe ucho p. reżysera i męża, który tą niepospolitą artystkę już na taki szczebel wyprowadził.

Chodzi mi o tą nużącą czasem jednostajność w grze, obliczoną na hipermodernistyczną interpretacyę myśli autora, a wszystko, co jest „nad-nad“, to jest nadnaturalne, a zatem często szkodliwe. Co prawda, zdarza się to rzadko, ale zdarza się... Ogromna inteligencya pani Solskiej powinna i może tu być głównie pomocną. A do skończonej doskonałości brakuje jej już bardzo mało...

Dla autorów jest istnym skarbem... Niektórzy zawdzięczają jej powodzenie sztuk... Zrozumiałe... Żuławski np. dedykował jej „Ijolę“ za mistrzowską grę w „Eros i Psyche“.

Wszystkie jej role wyliczyć byłoby niepodobieństwem. Z najważniejszych wymieniam: „Bartel Turasser“ (Marya), w „Sieci“ (Staszka), „Skarb“ (Dziwna). „Nawojka“ (rola tytułowa), „Igraszki trafu i miłości“ (subretka), „Odrodzenie“ (Vitorino), „Życie na żart“ (Mery), „Wesele“ (Rachel), „Tora Parsberg“ (rola tytułowa), „Na dnie“ (Nastka), „Mieszczanie“ (Helena), „Małek“ (Majuma), „Warszawianka“ (Marya), „Dyktator“ (Pustowójtówna), „Wianek mirtowy“ (Janka). Z innych sztuk: „Hrabia René“, „Lekkomyślna Siostra“, „Współzalotnicy“ itd. itd.

W tych jak i wielu innych rolach znać tę niezwykłą finezyę koronkową, niemal pajęczą subtelność cieniów, wielkie bogactwo szczegółów, a przedewszystkiem wielką, może instynktową znajomość duszy ludzkiej, tej nowoczesnej, wiecznie tęskniącej...

„Gdy zamknę oczy, jest mi, jakbym je otwarła“... *Klewe.*

KREW CYGAŃSKA

NAPISAŁ
E. VEZZARO.

3 (Ciąg dalszy).

Znał on Wandę jeszcze z Paryża i kochał ją szalenie — a że był majętnym i zupełnie niezależnym, postanowił się z piękną akrobatką ożenić. Nondikow był wykształconym — a z rozmowy można było poznać nie tylko jego inteligencyę, ale także wielką szlachetność serca i charakteru. Przed oczyma ustawicznie stawała mi myśl, że Wanda nie przyniesie szczęścia temu człowiekowi i że go szkoda, bo zmarnieje przez tę miłość.

Hr. Nondikow spodziewał się zastać Wandę na dworze barona Fejerhazego, którego znał jeszcze z dawnych czasów. Był on zapewne teraz święcie przekonanym, że Wanda jest córką barona.

W moim interesie leżało nie mówić mu, że Wanda znajduje się obecnie w Wiedniu. Wysiadłszy z pociągu w Aradzie, wsiedliśmy razem do fiakra, który nas zawiózł do zamku. Ja, jako artysta cyrkowy, udałem się natychmiast do tej części zamku, która była przeznaczoną dla służby i kazałem sobie zawołać starego mego znajomego Istwana.

Hrabia Nondikow udał się natomiast do pałacu i kazał się zameldować u dworu.

Później dowiedziałem się, że Alicya zrobiła na nim piorunujące wrażenie, gdyż jako towarzyszkę baronowej wziął ją za Wandę. Baronowa czuła się w dziwny sposób przywiązaną do Alicyi i odnosiła się do niej z iście macierzyńską troskliwością. Z drugiej strony obcowanie baronowej z Alicyą, jej wesołość dziecięca, miłość i przywiązanie, z jakiem odnosiła się do baronowej, działało na rekonwalescencyę chorej kobiety nadzwyczaj dodatnio.

Zdawało się, jakby jakieś silne i nierozerwalne nici związały je z sobą, jakby nieświadomie jakiś pęd naturalny, który może wszystko przezwyciężyć i obalić, pchał je ku sobie i wytwarzał ten serdeczny stosunek między baronową a Alicyą.

Hrabia Nondikow odjechał tego samego dnia do Wiednia, gdyż chciał tam zastać jeszcze swoją ukochaną Wandę.

Widziałem go, jak odjeżdżał dosyć zmieszany i niespokojny.

Tymczasem Wanda, która się już zupełnie czuła baronówną Fejerhazy, bawiła się w Wiedniu wspaniale, a od Alicyi dowiedziałem się, że baron pisał prawie w każdym liście do baronowej, iż Wanda wzbudza zachwyt we wszystkich kołach i towarzystwach, w których się obraca i że wszyscy są zachwyceni jej pięknością i elegancyą. Czasami z listu można było wyczuć, że baron trochę się krzywi, iż Wanda żyje ogromnie swobodnie i że jest niezaspokojoną pod względem uprzyjemniania sobie życia — dla baronowej było to wszystko jedno.

Co jednak przekonało barona Fejerhazy'ego, że Wanda jest na pewno jego córką, czego jednak nie mogłem się wcale dowiedzieć, aż w końcu Istwan opowiedział mi, że pewne papiery i dokumenta, które posiadała, dostatecznie potwierdziły, że ona to jest porwanem przez cyganów dzieckiem.

A także historya jej życia dawała po temu niezbite dowody.

Ale wobec tak dziwnego podobieństwa Wandy i Alicyi, możliwą rzeczą było, że zaszło z zemsty podstawienie i że może nie Wanda ale Alicya jest córką barona. Ta myśl nie chciała mię opuścić i wiedziałem, że takie rzeczy dzieją się nietylko w powieściach, ale także i to częściej jeszcze, w życiu. Postanowiłem jednak starać się o dojście do prawdy i zbadać, o ile mi na to znajomości na zamku pozwalały, faktyczny stan rzeczy.

Nagle jednego ranka przyszedł z Wiednia niespodziewanie telegram, że Wanda, baron i Nondikow wracają do Aradu. Domyślałem się co to znaczy i na zamku zaczęto już głośno mówić o bliskiem weselu, które miało się odbyć w Aradzie. Baronowa dziwnie obojętnie przyjęła tę wiadomość, podczas gdy Alicya zdradzała silne zakłopotanie i niepokój i ustawicznie wybuchała nerwowym płaczem.

Miałem wrażenie, jakby ona kochała się w hrabim Nondikowie. Nie byłoby to wcale rzeczą dziwną, gdyż widywała go często w Paryżu w towarzystwie Wandy i często z nim rozmawiała – a hrabia Nondikow był mężczyzną, który mógł zrobić wrażenie na młodem dziewczęciu.

Wszyscy troje przybyli na dwór barona – i już następnego dnia zauważyłem, że między nimi nie wszystko było w porządku.

Wanda była jak zawsze wesoła i dumna, ale obaj panowie byli poważniejsi, niż zawsze.

Wkrótce dowiedziałem się o przyczynach tych niesnasek. Wanda poznała się w Wiedniu z pewnym oficerem od huzarów, któremu okazywała niedwuznacznie swą sympatyę.

Między hrabią Nondikowem a tym oficerem przyszło do starcia, do pojedynku, z którego ów oficer wyszedł ciężko ranny.

Ta okoliczność wpłynęła na barona przygnębiająco — ale że kochał Wandę i cieszył się, że znalazł swe jedyne dziecko, nie zrobił jej ani jednego słowa wyrzutu.

Lecz wkrótce na zamku w Aradzie zaszły nowe niespodzianki.

Wanda przepędzała swój czas na zamku w taki sposób, że nawet mieszkańcy wsi sąsiednich dziwili się temu, jak może córka barona dopuszczać się takich wybryków.

Od rana do wieczora uganiała konno po polach i lasach w dzikim zapale myśliwskim, zamęczając siebie i zwierzęta. Względem chłopów odnosiła się jak ich równa, tak, że nawet z tego powodu przyszło między nią a baronem do nieprzyjemnej sceny, w której stary, dumny arystokrata, wyrzucał jej, że nie szanuje godności swej i swego ojca. Również w zachowaniu się hrabiego Nondikowa dała się zauważyć pewna zmiana i oziębienie w stosunku do Wandy.

Tymczasem pewnego dnia zjawili się w Aradzie cyganie i rozbili swe namioty na łące, tuż obok zamku. To było niesłychane!

Od czasu bowiem porwania jego dziecka, prześladował baron cyganów nieustannie i zawzięcie i od tegoż czasu nie odważyła się żadna banda pojawić w jego powiecie.

I teraz, natychmiast po przybyciu bandy cygańskiej w pobliże zamku – wyruszył baron z oddziałem żandarmeryi do nich i rozkazał im natychmiast Arad opuścić.

Ku ogólnemu zdziwieniu zjawiła się naraz Wanda i wzięła stanowczo w obronę cyganów.

Dlaczego ich broni — nikt nie wiedział.

Ja domyślałem się, że robiła to z sympatyi dla tych ludzi, wśród których się wychowała i wśród których żyła.

Baron jednak okazał się stanowczym i kazał bandę przepędzić do najbliższego powiatu.

Wanda czuła się takiem postępowaniem barona dotkniętą. Oczy błysnęły jej dziwną wściekłością, która dla oka reszty ludzi nie była wcale zrozumiałą. Poznałem, że nietylko pozornie, ale istotnie była to natura mściwa, która nie umiała puścić w niepamięć choćby najmniejszej urazy.

Na drugi dzień rozeszła się po zamku wieść, która jakby piorunem spadła na barona, że Wanda znikła. Dochodzenia wykryły, że nietylko jej nie ma, ale niema także sekretarza prywatnego barona i części pieniędzy, zabranych razem z kasą.

Baron – ma się rozumieć — nie rozkazał wcale ścigać złodziei i chociaż strata była dość znaczną, jednak był jeszcze mimo to tak bogatym — że łatwo mu przyszło przeboleć stratę.

Na zamku zaszły zmiany. Wandy już nie było, baron chodził po pokojach smutny i przygnębiony; przeciwnie zaś baronowa zdawała się być wesołą, a Alicya oddychała lżej, jakby zdjęto jej ciężki kamień, przygniatający piersi. C. d. n.

Zegarek artystki.

(Humoreska).

2 (Ciąg dalszy).

— Zegarków?... jest panie dobrodzieju! bardzo fajn zegarków — zawołał z ukłonem chudy żydek za ladą, wydostając zakurzone jakieś pudełko.

— U mnie są najlepsze zegarków — chełpił się z dumą! — Niech pan dobrodziej posłucha jak ón sobie ślicznie tyka!... — wołał z entuzyazmem pchając klepsydrę do ucha gościa. — A co? czy pan widział kiedy taki zegarek? — wyrzekł wreszcie żyd z tryumfem.

— Widziałem już lepsze — odparł radca tonem wyższości.

— Pan widział lepsze?... to wcale nie może bicz! — zauważył starozakonny stanowczo, a ruchliwa fizyognomia jego zdradzała wyraz nietajonej obrazy.

— A ileż on kosztuje? — pytał kupujący.

Żyd udał, że nie zwraca uwagi na pytanie i ciągnął dalej:

— Jak pan da ten zegarek jakiej panience, to una się zaraz zakocha w pana! a jej serce to będzie tak skikało, jak w tego zegarkowi!...

— I cóż on kosztuje — zapytał radca po raz wtóry.

— Un mnie kosztował bardzo grube pieniądze — zapewnił handlarz, ale ja pana co powiem: jak dla pana, to ja chce na nim straczić: niech będzie moja krzywda!...

— Ileż ta krzywda kosztuje? Czy się dowiem nareszcie? Krzyknął radca niecierpliwie.

— Zaraz się pan dowie: ten śliczny zegarek genewiański kosztuje razem z temi maliowanemi kopertami i razem z tem uszkiem i razem z tym werkiem w środku — kosztuje tylko: 120 guldenki i ani grosza więcej!...

Radca upadł całym swym ciężarem na krzesło przy ladzie..

— Sto? sto? co pan pleciesz? — wyjąkał.

— Sto gulden i 20 gulden — to jest razem 120 i więcej nic! — potwierdził żyd z flegmą.

— Czyś pan zwaryował? — oburzył się radca — taki sam zegarek dostanę u nas w Krakowie za trzecią część tej ceny!...

— Jedź pan do Krakowa — zakonkludował handlarz poważnie, chowając pudełko do szuflady, i mówił dalej:

— Zresztą co pan chce?... taraz wojna na dalekim Wschodzie, nu! to i damskie zegarki poszły w górę!... Ja tu już miałem dzisiaj 8 bardzo porządnych panów, co szukali takie damskie złote zegarków w podwójnej kopercie!

— Co? co?! — krzyknął radca zrywając się ze stołka — ośmiu panów w podwójnej kopercie?!

— W podwójnej! — potwierdził żyd — wszystkim szę chciało takie zegarki.

— No — i pan im sprzedałeś?!...

— Ja im jeszcze nie sprzedałem — odparł kupiec uspakajająco — bo ja mam chwilowo tylko tego jeden na składzie! — O! patrz pan! — zawołał nagle pokazując palcem na ulicę — patrz pan! tam idzie znowu jeden pan do mnie! On tu już był przed kwadrancem i chciał go kupić, ale mu buło za drogo! Nu! on się już prawie teraz namyślił!...

Radca spojrzał niespokojnie we wskazanym kierunku i zdawało mu się, że ujrzał z daleka sylwetkę znajomego prawnika, którego nazwiska wypożyczył sobie chwilowo.

Porwał więc skwapliwie zegarek, zapłacił bez dalszych targów żądaną ceną i wymknął się pospiesznie ze sklepu.

* * *

Pan radca się nie mylił.

Majacząca zdala sylwetka, którą ujrzał z żydowskiego sklepu — należała istotnie do pomocnika adwokackiego.

Młodzieniec nie mógł się wcale pozbyć nieufności względem starego wielbiciela operetki. Całe jego zachowanie, pośpiech, z jakim pożegnał się z nim radca po przeczytaniu wiadomego ogłoszenia o zegarku — wszystko to nie uszło jego baczności i nie bez słuszności zaczął podejrzewać pomysłowego starca o nowy „kawał“.

Śledził go zatem z daleka, a skonstantowawszy, że radca zamiast do domu (jak go zapewniał) — skręcił do zegarmistrza — nie mógł już w najmniejszej wątpliwości pozostawać co do jego zamiarów.

Młody człowiek kombinował jak następuje:

— Radca podszył się pod moje nazwisko u śpiewaczki. Radca dowiedział się, że śpiewaczka zgubiła zegarek. — Radca poszedł do zegarmistrza... Konkluzya: Radca kupi zegarek i zaniesie go do willi „Ustronie“, twierdząc, że znalazł go na drodze do parku. Zegarek oczywiście nie jest ten sam, śpiewaczka jednak gotowa przyznać się do niego... Uczciwość znalazcy zobowiąże ją dla chytrego starca, co może być tylko ze szkodą i ujmą dla mego nazwiska.

— Trzeba przeciwdziałać; koniecznie przeciwdziałać! — krzyknął młodzieniec sam do siebie z energią, i przyprowadziwszy do porządku gors i krawatkę, zduszone w radcowskich uściskach — skierował swe kroki w kierunku... willi „Ustronie!..“

* * *

— Kogo mam zameldować? — spytała go w przedpokoju fertyczna pokojóweczka.

— Pomocnik adwokata: Zawszechwacki.

Dziewczyna przypatrzyła mu się z niedowierzaniem.

— Tak! tak! — potwierdził gość przekonywująco — proszę zameldować: pomocnik adwokata Zawszechwacki, autentyczny Zawszechwacki.

Śpiewaczka podsłuchiwała widocznie, bo w tej chwili ukazała się w drzwiach i poprosiła autentycznego pomocnika do salonu.

Gość, zająwszy wskazane mu miejsce, rzekł z miłym uśmiechem:

— Pani! proszę mi darować moją śmiałość i natręctwo! Atoli dwie ważne sprawy skłoniły mnie do przestąpienia twych progów. Po pierwsze słyszałem, żeś pani zgubiła zegarek...

— Jakto?!... czyżbyś go pan znalazł — zawołała z nieudana radością.

— To nie! — odparł młodzieniec — ale było wczoraj u pani jakieś podejrzane indywiduum, podające się za pomocnika adwokata, Zawszechwackieho!... Czy nie tak?

— Istotnie!...

— O pani! czyż nie widzisz związku przyczynowego między tymi faktami?!

— Doprawdy... nie domyślam się!...

— A zatem ja to pani wyjaśnię: ten rzekomy Zawszechwacki, który się wszędzie pod mojem uczciwem nazwiskiem wkręca — i to nagłe zniknięcie zegarka.— Czyż to pani nic nie tłómaczy... Z jakiej przyczyny — pytam się — ten stary łobuz, który właściwie nazywa się Dymalski — podszywa się pod moje nazwisko?

— A więc pan przypuszcza, że ten stary mógł był mój zegarek... — wyjąkała niespokojnie śpiewaczka, dokończywszy wymownym gestem swej myśli...

Prawnik wzruszył ramionami.

(Dokończenie nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Szarady.

ułożył W. K.

Pierwsza i trzecia, to nazwa zdrobniała...
(Oznacza także tytuł powieści.)
Druga zaś, rzeka wielka, wspaniała,
Co gdzieś daleko szumnie szeleści.
Całość nam daje przykład ze Wschodu,
Że miłość Ojczyzny — jest siłą narodu!

II.

Pierwsze i trzecie: to małe motylki,
Lecz tak żarłoczne, jak zgłodniałe wilki...
Drugie i trzecie: w technice rej wodzą, —
A *wszyscy* ciągle w „pariadku“ uchodzą...

Logogryf.

ułożył W. K.

a, a, e, i, o, u, u. lo, go, to. dy, se. no, er, rys, tyk, we, ro, ce. eu, no, rej, łan, bo, wer. dym, dy, pol, taj, li, kuń, ro, des, tor, ry. ra, uh, wła, pa, lau, kaj, wo, pi, wen, glin, tu, pe, krop, la, sy, me, ra, nów, jen, na, nus, stok, na.

Z powyższych sylab ułożyć 21 wyrazów, których początkowe litery, czytane z góry do dołu, i końcowe z dołu do góry: dadzą dwa wypadki dziejowe.

Znaczenie wyrazów:

1. Państwo europejskie.
2. Rodzaj utworu poetycznego.
3. Bogini.
4. Ryba.
5. Miasto nad rzeką Duero.
6. War.
7. Imię żeńskie.
8. Zwycięska placówka Japończyków.
9. Bożek.
10. Port w Japonii.
11. Syn króla trojańskiego.
12. Dwa miasta węgierskie, połączone spójnikiem, sławne z fabrykacyi wina.
13. Pociski wojenne.
14. Sławny tragik ateński.
15. Miasto w Galicyi.
16. Pseudonim pisarza polskiego.
17. Imię męskie.
18. Żołnierz.
19. Pisarz polski.
20. Miasto pod Poznaniem.
21. Stacya kolejowa na linii Lwów — Sokal.

Logogryf literacki.

ułożył W. K.

ski	le	dy	wicz	ski	rze	ski
na	ski	wicz	do	mo	le	wi
kow	nie	rey	kow	as	an	o
wicz	szko	nar	dzie	jew	szew	wel
nie	brzań	le	est	dzierz	wy	ce
wa	ski	to	nyk	niec	ro	to
czów	mont	niem	spiań	o	kra	ski

Przestawić zgłoski zgrabnie i dokładnie —
I ułożyć nazwiska z pisarskiego świata...
Z początkowych liter poemat wypadnie,
Który nam dłonie do miłości splata!

Jako nagrodę za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych przeznaczamy:

„Synowie Ziemi“
St. Przybyszewskiego.

Rozwiązania z Nru 12.

Rebus: Nowożytna filozofia utrzymuje, że honor i cnota, to rzeczy odmienne i zależące.

Szarada: Maryla.

Logogryf: Zamek krakowski. — Henryk Rzewuski.

Arytmogryf kryształowy: Sienkiewicz — Nowowiejski.

Dobre rozwiązania nadesłali: St. Mika Nowy Sącz, K, Chłopicka Zawałów, T. Wasiewiczowa Baranów, Wilkosz Wielopole, Augustynowicz Manajów, S. Śliwa Gorlice, Szwabowicz Żurawno, Piasecki Dolina, Konieczny Klikuszowa, Przewoźniczek Sieniawa, E. Noss Czortków, Opolska Czarny Dunajec, Domain Brzozów, Mokrzycka Turbia, Chodkiewicz Zbydniów, Łaszkiewicz Słotwina, Mytych Ostrowy, Z. Ehrenberg Kraków, Andrysik Podgórze, Bojuk Bełz, Dancewicz Potok Złoty, Dobrzyniecki Widynów, Fuchs Peczeniżyn, Ligęzianka Rybna, Jakoby Lwów, Arbesbauer Lwów, Josefert Kraków, Hołubowicz Borysław, Rożański N. Sącz, Ulrich Kraków, Jagiełłowicz Kraków.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. Stanisław Śliwa w Gorlicach. Prosimy o nadesłanie 50 hal. na koszta przesyłki.

Wina, Rumy, Koniaki, Sliwowica, Herbata, Miód, Naturalne Wina stołowe

od 40 centów za litr. Sprzedaż hurtowna i detaliczna. 14–

Dr Nieć, Franicević i Pavicić, Kraków, Rynek Główny 25 (Gmach Banku Galicyjskiego.)

MAGAZYN
MEBLI ŻELAZNYCH, MATERACÓW SPRĘŻYNOWYCH I WYROBÓW DRUCIANYCH
KRAKOWSKIEJ FABRYKI
JÓZEFA GORECKIEGO
ul. Starowiślna l. 44 w parterze, fabryka ul. św. Wawrzyńca l. 26.
14-22 telefon Nr. 277.

Ważne dla PP. Sudentów.
Przyjmuję wszelkie roboty w zakres krawiectwa wchodzące, a szczególnie jestem specyalistą do uniformów studenckich, które wykonuję po cenach przystępnych i polecam się względom PP. Studentom.
LUDWIK TATKO
krawiec cywilny i wojskowy
ul. Sienna 12 II. piętro.



Proszę żądać
darmo i opłatnie
mój bogato ilustr. cennik, zawierający 1000 rysunków dobrych i tanich zegarków, przedmiotów złotych i srebrnych
HANNS KONRAD
PIERWSZA FABRYKA ZEGARKÓW
w BRÜX Nr. 786 (Czechy).
Prawdziwy niklowy zegarek anker rem. syst. Roskopf patent w skórkow. futerale wraz z łańcuszkiem złr. 2·50. Nikl. budzik złr. 1·50, 3 szt. złr. 4. Żadne ryzyko. Zmiana dozwolona lub pieniądze z powrotem.

Jan Rausch
ZAKŁAD
Lakierniczy powozów
KRAKÓW
ulica Długa l. 34.

Jak **ZA DARMO**
niklowy Rem. z napisem „System Roskopf Patent“ wraz z pięknym łańcuszkiem złr. 1·70, trzy sztuki złr. 5·—, sześć szt. złr. 9· — Srebrny Roskopf o 3-ech kopertach bardzo silnych złr. 5·75. — Stalowe Rem. męskie złr. 2·35, damskie złr. 2·50. Srebrne zegarki damskie złr. 3·50, męskie złr. 3·25. Budziki świecące w nocy złr. 1·35. — Bogato ilustrow. cenniki darmo i opłatnie wysyła
S. Zahn, Kraków, Floryańska 31.
Dostawca związku ck. urzędnik. pństwow.

BIURO
NAUCZYCIELSKIE
Stefanii Łapszów
z Trembeckich Zwilling
Kraków, ul. św. Jana l. 2
róg Rynku Głównego
poleca:
Nauczycielki, Guwernantki, Nauczycieli, Guwernerów oraz Wychowawczynie i Bony różnej narodowości.

Antoni Sadowski i Syn
krawiec
Kraków Floryańska 32.

„ARS“
Salon sprzedaży rzeźb i obrazów artystów polskich, otwarty oodziennie w **dnie powszednie** od 10 do 1-szej zrana i od 2 do 4 po południu.
Ul. Bracka 5, na parterze.

Moje tanie ceny wzbudzają senzacyę!
Niklowy Rem. kieszonkowy z marką System Roskopf wraz z pięknym łańcuszkiem złr. 1·95, trzy sztuki złr. 5·50, sześć sztuk złr. 10·—. Srebrny Roskopf o 3 kopertach bardzo silny złr. 6·—. Stalowy damski remontoir złr. 2·75. Srebrny damski zegarek złr. 3·90. Budzik najlepszy złr. 1·15. Łańcuszki srebrne od złr. 1·—. Zegarki damskie złote od złr. 10·—. Bogato ilustr. cenniki na zegary i przybory zegarmistrzowskie na żądanie darmo i opłatnie.
Ignacy Cypres, Kraków, Floryańska 49

PRACOWNIA STOLARSKA I SPRZEDAŻ MEBLI
WŁASNEGO WYROBU
UL. POSELSKA L. 8
W KRAKOWIE
ALEKS. NOWAK
Z KRÓL. POLSKIEGO.

„FLORA”
PRACOWNIA SUKIEN DAMSKICH
I SZKOŁA KROJU.
KRAKÓW, PODWALE 13.

WĘGIERSKA
RÓŻANA Papryka Szegedyńska najlepsza, słodka, ręczę za prawdziwość, uznanej znakomitej jakości, własnego wyrobu klg. za 5 K. Wysyłka za zaliczką, począwszy od 1 klgr. opłatnie. Dalsze specyalności: **Słonina, węgierskie salami** itp. b. tanio.
Dom wysyłkowy różnorodnych produktów krajowych
Haupt A. Rudolf, Budapest
VII. Ovodagasse 22.

Madejski Stanisław
zawiadamia Szan. P. T. Publiczność, iż przy **ul. Zwierzynieckiej l. 32** obok kasarni Trenu, otworzył w nowo odrestaurowanym lokalu
RESTAURACYĘ,
Poleca po umiarkowanej cenie w abonamencie obiady, śniadania i kolacye, także gorące przekąski na sposób warszawski również poleca wyborowe wina, piwa i wódki. – Lokal otwarty do godz. 1 w nocy.

Panowie i Panie
wszystkich stanów,
mogą wszędzie jako dochód uboczny do 300 Kor. miesięcznie zarobić, przez zastępstwa, zajęcie pisarskie, ręczne roboty, wskazywanie adresów i t. p.
Bliższa wiadomość pod M. 14 przez firmę: Karol Wörfel, Nürnberg, Austrasse 76.

Singera maszyny do szycia
znakomitej jakości, sprzedaje z 5-letnią gwarancyą na wypłat w małych ratach
NIEMETZ I SP.
w Krakowie, ul. Szewska 2
(pierwszy dom od Rynku).
Przyjmuje wszelkie naprawy. Ceny niskie.

CUKIERNIA
pod firmą
Zygmunt Majewski i Ska
ul. Karmeliska l. 7
poleca się na
Święta Wielkanocne.

Grodzka l. 13

Komisowy skład płócien,
Bielizny stołowej,
Ręczników, Chustek do nosa i t. p.
oraz szyrtyngów z pierwszorzędnych fabryk poleca

MAGAZYN
Henryka Szwarza
Kraków, Grodzka l. 13
Cenniki i próby darmo i opłatnie.

Telefon Nr. 43

Byłem łysy.

John Craven Burleigh, pewien kupiec londyński pisze:
Jeszcze przed kilku laty była moja czaszka całkiem łysa. Mój ojciec i dziadek byli łysi. Włosy mojej matki były z przyrody nadzwyczaj cienkie. Już byłem się oswoił z tą myślą, że zostanę łysym, aż dopóki pewnego dnia podczas wycieczki do Szwajcaryi nie poznałem się z pewnym uczonym panem w starszym wieku, który mię w ciągu rozmowy wprost zapytał, czy nie życzyłbym sobie posiadać bujny zarost włosów.



Nadzwyczaj zaciekawiony dałem całkiem naturalnie potwierdzającą odpowiedź. Wtedy opowiedział on mi, że przez całe swe życie zajmował się chemią, a w szczególności chorobami włosów. Dla potwierdzenia swych słów, zanotował on mi pewną formułę i polecił mi najusilniej preparat kazać sporządzić. Przyjechawszy do Genewy nie zaniechałem to wykonać i używałem preparatu przez krótki czas. Po trzech tygodniach poczęły się włosy odnawiać, a po **czterdziestu dniach** była moja czaszka włosami całkiem **pokryta.** Część pomady dałem dwom przyjaciołom; jedną część pewnej damie, której włosy prawie zupełnie były wypadły. — **Rezultat był w obu wypadkach zdumiewający.** Od tej pory, otrzymawszy wpierw od uczonego, który to odkrycie uczynił, pozwolenie, sprzedaję ten środek kosmetyczny. Jestem w przyjemnem położeniu, setki równych przykładów silnego działania u osób obojga płci dowieść. Nie jest to żaden środek tajemniczy. Gwarantuję, że nie zawiera żadnych składników zdrowiu lub skórze szkodliwych.

Aby się jednak Pan mógł przekonać o prawdziwości tego środka będzie Panu na życzenie wysłaną bezpłatna próbka, Po tem zaś, gdy Pan znajdzie, że pańskie włosy zaczynają rosnąć, może Pan nabyć dalszą ilość za cenę umiarkowaną u pana Wiliama Scotta we Wiedniu, który ma monopol sprzedaży dla Austro-Węgier.

Próbka bezpłatnie. Każdemu czytelnikowi, który mi powołując się na tę gazetę przyszle swój adres na korespondentce wyraźnie napisany, przyszlę próbkę bezwarunkowo bezpłatnie. Należy adresować.

WILLIAM SCOTT
Wiedeń, I./870 Franz Josefs-Kai 19.

ZAKŁAD ŚW. JÓZEFA
dla osieroconych chłopców
w Krakowie, przy ulicy Karmelickiej l. 66
poleca na sezon wiosenny:
nasiona warzywne, kłęcze, cebulki i nasiona kwiatowe, sadzonki kwiatowe i warzywne, szczepy i krzewy owocowe, róże wysoko- i niskopienne.
Wielki wybór roślin doniczkowych i t. p.
Cenniki na żądanie opłatnie.

HOTEL I RESTAURACYA „METROPOLE“
KRAKOW, ULICA ŚW. GERTRUDY L. 28
poleca Szan. P. T. Publiczności bardzo elegancko urządzone na wzór zagraniczny pokoje od 2 K wyżej. Obsługa szybka.

Hotel posiada 40 eleg. urządzonych na wzór zagraniczny pokoi od 2 K. Ogród z werandą.



Stacya kolei elektr. Telefon do użytku P. T. Gości. Obok hotelu gł. urząd poczt. i telegr.

Znakomita kuchnia domowa. Potrawy b. smaczne w wielkim wyborze po przystępnych cenach. Piwo pilzneńskie beczkowe. Obsługa szybka i rzetelna. Z poważaniem S. KUBIĘ.

Rządowo uprawniona
FABRYKA WÓD MINERALNYCH SZTUCZ.
i specyalnych leczniczych, pod firmą
K. RZĄCA I CHMURSKI
w Krakowie, przy ulicy św. Gertrudy l. 4, Telefon 227.
Wyrabia pod kontrolą komisyi Przemysłowej Tow. Lek. krak. polecone przez toż Towarzystwo Wody Mineralne, odpowiadające składem chemicznym wodom: Bilińskiej, Gieshueblerskiej, Selterskiej, Vichy, Maryenbadzkiej, Homburg, Kissingen, tudzież specyalne lecznicze, jak: litową, bromową, jodową, żelazistą, kwaśną oraz wody mineralne normalne z przepisu prof. Jaworskiego. — Sprzedaż cząstkowa w aptekach i drogueryach. Cenniki na żądanie franco.

„Merkury“ GAZETA LOSOWAŃ I HANDLOWA
Adres: Administracya „Merkurego“ w Krakowie, Rynek gł. l. 5.
Dokładne wykazy ciągnień, popularny dział handlowy.
Prenumerata całoroczna 3 kor. 60 hal.
Bezpłatne dodatki.
Rocznik finansowy i kalendarzyk bankowy.

BIURO TECHNICZNE **F. LORD** **KRAKOW Floryańska 55**
TELEFON Nr. 230.
Skład maszyn, narzędzi i artykułów technicznych dla wszelkich gałęzi przemysłu.
Zastępstwo Austryackich zakładów **„Siemens-Schuckert“**, Wien.
Instalacya elektrycznego oświetlenia i przeniesienia siły; plany, kosztorysy, i projekty gratis. Maszyny parowe, kotły, motory gazowe i generatory. Kamienie francuskie i krajowe. Walce porcelanowe i stalowe. Pompy i sikawki.
Węże gumowe i parciane.
Skład i wyłączna sprzedaż oryginalnych rosyjskich olei smarowych firmy: S. M. Schibaef & Co. Tłuszcz Towota. Zastępstwo firmy F. Reddaway & Co. Ltd. dla pasów oryginalnych „Reddaway“. Pasy skórzane, parciane i gumowe. Paski do szycia i krupony. Płyty i sznury gumowe i asbestowe. Przybory do maszyn (armatury) wszelkiego rodzaju. Liny parciane i druciane. Płótna i papier szmirglowy. Maźnice i oliwiarki wszelkiego rodzaju. Pokrowce nieprzemakalne i wszelkie armatury dla urządzeń wodociągowych, łazienek i klozetów. Dzwonki elektryczne i przybory do tychże. Papier szybrowy.

FABRYCZNY
Skład Płótna i Bielizny stołowej

M. Beyer i Spółka
Kraków, Sukiennice Nr. 12, 13, 14.

Zakład dla wyrobów ślubnych oraz magazyn bielizny męskiej, damskiej i dziecinnej · Główny skład bielizny wełnianej Prof. Dr. Gustawa Jaegera oraz wszelkich wyrobów trykotowych · Co dzień nowości w bluzkach i halkach ···· Telefon 266.

Eleg. spodnie spacerowe złr. 2·50

poręczonej doborowej jakości, trwałe, posiadające najnowszy fason, solidny kolor i nienaganny wiedeński krój, sprzedajemy **za bezcen** jedynie z powodu olbrzymiego zapasu; przy odbiorze **2 par złr. 4·75.** Przy zamówieniu wystarczy podać całą długość, objętość w pasie i długość w kroku. Wysyłka za zaliczką lub za poprzedniem nadesłaniem pieniędzy przez

Dom Exportowy ubiorów męskich i dziecinnych
KRAKÓW, GRODZKA 31.

Nieodpowiednie zamienia się bez jakichkolwiek trudności. Każde zamówienie na miarę z garderoby męskiej i dziecinnej zostanie również bardzo szybko i rzetelnie po najtańszych cenach fabrycznych uskutecznione. Aby się każdy mógł przekonać, o naszych niezrównanie niskich cenach, prosimy uprzejmie o zamówienie próbne i o liczne zwiedzanie naszego składu fabrycznego

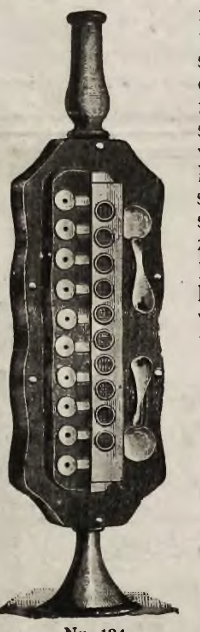
Kraków, ul. Grodzka 31. – Dostawcy związku c. k. urzędników państwowych. – Filie: w Łańcucie i w Gorlicach. 2 10-29

Najtaniej w Krakowie, Grodzka 58
Bogaty wybór **Pierścionków zaręczynowych**



Łyżki, łyżeczki, cukiernice i inne wyroby z chińskiego srebra.

BEZ NAUCZYCIELA!
BEZ NAUKI I BEZ ZNAJOMOŚCI NUT!



Nr. 134.

może każdy grać na mojej trąbce samogrającej i flecie: pieśni, tańce, i marsze. Poleca się szczególnie na wesela i zabawy. Do każdego instrumentn dodaje się darmo łatwo zrozumiałą szkołę

Przesyłka za zaliczką przez dom wysyłkowy instrumentów muzycznych

A. Scheuer
w Krakowie
ul. Grodzka 59/6.

Bogato ilustrowane cenniki instrumentów muzycznych oraz zabawek na żądanie darmo i opłatnie.



Nr. 135.

Nr. 134. Trąbka samogrająca ma 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, 36 cm., złr. 1·10, 3 szt. złr. 3.

Nr. 135. Flet na 10 klawiszy, 20 głosów, 2 klapy basowe, fason cylindrowy, 40 cm., złr. 1·50, 3 szt. złr. 4.

NOWY KURS PRYWATNY
rachunkowości państwowej i buchalteryi.

Przygotowuję gruntownie do **egzaminu** z rachunkowości państwowej, kupieckiej i ogólnej. Korzystny rezultat tejże zapewniony. Dla pań osobne godziny. Niezamożnym specyalne ulgi. Dla zamiejscowych urządza się kurs niedzielny co nie opóźnia terminu złożenia egzaminu – Udzielam również nauki języka niemieckiego, koresp. handlowej i kaligrafii. Sprawy tyczące się przypuszczenia do egzaminu itp. załatwiam

HENRYK GOTTLIEB 1 9-18

rutynow. egzam. nauczyciel rachunk. państw. specyalista kaligrafii.

Kraków, ul. Dietlowska 68, II. piętro.





Ubrania gotowe od 10 złr.
Fraki, surduty od 20 złr.

Ubrania na zamówienia od 20 złr.

wyrób krajowy

Kraków, ul. Floryańska 7 tuż przy Rynku.
Filia: Lwów, pl. Halicki 7 14

Związek katolickich Krawców.



Również czysto niklowe „Berndorf“

Cenniki na żądanie.

Wyłączny skład fabryczny.

Tom. Górecki, Kraków.

F. WINCENCIAK, KRAKÓW
GARBARSKA L. 4 (SKLEP)

WYRABIA OBUWIE MĘSKIE I DAMSKIE WEDŁUG FASONU ANGIELSK. I FRANCUSKIEGO.
CENY NISKIE ═══ WYRÓB ZNAKOMITY.

14—18

---

30 procent oszczędzi każdy na binoklach, okularach i t. d., kupując je u firmy:



T. ARMATYS
optyk i mechanik
Kraków, ul. Grodzka l. 6.
P. P. c. k. Urzędnikom.

Akademikom i Studentom **jeszcze 10% opustu.** 1-?

Wincenty Kucharski
krawiec męski

Kraków Lenartowicza 6.

11 10-30

Aparaty fotograficzne, zawsze świeże klisze, papiery oraz wszelkie inne przybory fotograficzne poleca po cenach nader niskich

Niemetz i Sp.
w Krakowie,
Szewska l. 2 pierwszy dom od rynku.

Darmo i opłatnie otrzyma każdy mój bogato



illustrowany cennik
Instrumentów muzycznych
oraz różnych
ZABAWEK



A. Scheuer, Kraków
ulica Grodzka l. 59/6. 7-52



Spłaty częściowe!

dozwolone za poprzedniem ustnem lub listownem porozumieniem się.

Bezsprzecznie największy wybór!

Renomowana i powszechnie znana firma

Dom towarowy „AU LOUVRE“
we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6 (Pasaż Hausmana)

poleca swój obfity i bogato zaopatrzony skład wszelkich możliwych gatunków dywanów (także kościelnych i przed ołtarze) dywaników, portyer, firanek, chodników, kap na stoły i łóżka, cerat, linoleum, kołder, koców, der na konie oraz wszystkich innych przedmiotów dekoracyjnych po nader niskich cenach konkurencyjnych.

Za nadesłaniem nam marki pocztowej za 10 h. wysyłamy nasze bogato illustrowane cenniki, w których są opisane także towary lniane i bawełniane, bielizna męska i damska szyfony, płótna, bielizna stołowa i inne ważne artykuły, w zakres domowego gospodarstwa wchodzące. Zlecenia z prowincyi załatwia się odwrotnie.

By ujść pomyłkom, prosimy na nasz adres dokładnie zważać.

Z poważaniem Zarząd firmy:

Dom towarowy „Au Louvre“
5-14 **Lwów, Sykstuska 6.**

LUDWIK SZUFA
KRAWIEC

KRAKÓW SZEWSKA 9.

3 9-14

CUKIERNIA
Kazimierz Sotschek
LWÓW

poleca się P. T. Publiczności.

Bufet w teatrze miejskim.

Wszelkie zamówienia wykonuje odwrotną pocztą.

Posiadacze losów

mogą u nas dostać za nie pełny kurs dzienny i na życzenie te same losy (tj. te same numera) grając na nie bez przerwy, nabyć na dogodne spłaty miesięczne. Losy gdziekolw. zastawione, wykupujemy i przeprowadzamy powyższą transakcyę. Polecamy uprzejmie naszą firmę do wszelkich obrotów bankowych. Kupno i sprzedaż obligacyj, losów i monet. — Ajentów żadnych nie wysyłamy. — Kalendarzyk bankowy bezpłatnie.

Schütz i Chajes, Dom bankowy
we Lwowie, plac Maryacki 7.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: St... ław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisz... zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.